

# Księżyc Łowcy

Poul Anderson



calibre 0.9.27

**POUL ANDERSON**

***KSIĘŻYC ŁOWCY***

**(PRZEŁOŻYŁ WIKTOR BUKATO)**

**Księżyc łowcy**

**(Hunter's Moon)**

*Rzeczywistości nie postrzegamy, rzeczywistość jest naszym zamysłem. Odmienne przypuszczenia mogą doprowadzić do katastrofalnych zaskoczeń. Ten powtarzany bez końca błąd stanowi źródło tragicznej natury historii.*

**Oskar Haeml, *Betrachtungen uber die menschliche Verlegenheit.***

**Oba słońca zniknęły już za horyzontem. Widniejące na zachodzie góry stały się już falą czerni, nieruchomą, jak gdyby dotknął ich i zmroził chłód Zaświatu, gdy jeszcze się wznosiły na pierwszą morską przeszkodę po drodze ku Obietnicy; ale niebo nad nimi stało purpurowe, ukazujące jedynie pierwsze gwiazdy i dwa małe księżyce, srebrzyste sierpy w ochrowej obwódce, niczym sama Obietnica. Na wschodzie niebo pozostało jeszcze błękitne. Tutaj, niewysoko ponad oceanem, Ruii jaśniał nieomal pełnym blaskiem. Jego pasy błyszczwały na tle karmazynowej poświaty. Pod nią drżały wody - świadectwo wiatru.**

**A'i'ach też czuł wiatr, chłodny i szemrzący. Odpowiadał mu najdrobniejszym włoskiem swego ciała. Potrzebował**

zaledwie niewielkiego popchnięcia, by utrzymywać stały kurs;  
wysiłek ten starczał, by dać poczucie własnej siły i jedności ze  
swym Rojem oraz kierunkiem i celem drogi. Otaczały go  
kuliste ciała towarzyszy, jarzące się lekko, nieomal  
zasłaniające mu widok ziemi, nad którą płynęli; był spośród  
nich najwyżej. Ich zapach życia stłumił wszystkie inne niesione  
przez wiatr, słodkie i mocne, i brzmiał ich wspólny śpiew,  
stugłosowego chóru, aby dusze ich mogły się połączyć i stać  
jednym Duchem, przedsmakiem tego, co oczekiwało ich na  
dalekim zachodzie. Dziś wieczorem, gdy P'a przejdzie przez  
tarczę Ruii, powróci Czas Blasku. Już się wszyscy na to cieszyli.  
Tylko A'i'ach nie śpiewał ani się nie zatracił w marzeniach  
o uctowaniu i miłości. Był zbyt świadom tego, co niesie. To, co  
ludzie przyczepili do jego ciała, ważyło bardzo niewiele, ale  
przepelniało mu duszę czymś ciężkim i surowym. Cały Rój wie-  
dział o niebezpieczeństwie napaści i wielu ścisnęło broń:  
kamienie do rzucania lub zaostrzone gałęzie, które opadają z  
drzew ii - w mackach falujących pod kulami ich ciał. A'i'ach  
miał stalowy nóż - zapłatę ludzi za zgodę na obciążenie jego  
ciała. Jednak nie było to w naturze Ludu, by obawiać się  
czegoś, co może grozić im w przyszłości. A'i'ach czuł osobliwe  
zmiany spowodowane tym, co działo się wewnątrz niego.  
Wiedza ta przyszła, sam nie był pewien jak, ale  
wystarczająco powoli, by go nie zaskoczyć. Jednak zamiast tego

przepelniła go zawziętość. Gdzieś w tych górach i lasach znajdowała się Bestia nosząca tę samą broń co on, znajdująca się w nikłym kontakcie typu rojowego - z człowiekiem. Nie potrafił odgadnąć, co to może zwiastować, z wyjątkiem jednego: jakieś kłopoty dla Ludu. Pytanie ludzi o to mogło być nierozsądne. Dlatego też postanowił zrobić rzecz obcą jego rasie: postanowił, że sam usunie tę groźbę.

Ponieważ oczy miał umieszczone w dolnej połowie ciała, nie widział przedmiotu umocowanego na szczycie ani bijącego z niego światła. Jego towarzysze mogli to jednak zobaczyć, więc kazał sobie wszystko pokazać, nim zgodził się to ponieść.

Światło było słabe, widoczne tylko w nocy, a i to jedynie na ciemnym tle, będzie więc szukał błysku wśród cieni na powierzchni ziemi. Prędzej czy później zobaczy go. Okazja była po temu nie najgorsza teraz, o Czasie Blasku, gdy Bestie wyruszą, by zabijać Lud, o czym wiedziały, licznie zgromadzone na rozkosze.

A'i'ach zażądał noża jako ciekawostki, która może się przydać. Chciał schować go w gałęziach drzewa, by z nim poćwiczyć, gdy przyjdzie mu na to ochota. Czasem któraś z Osób wykorzystywała znaleziony przedmiot, na przykład ostry kamień, do jakichś doraźnych celów, aby na przykład otworzyć strąk grzebienio-kwiatu i wypuścić przepyszne nasionka. Może za pomocą noża będzie mógł robić narzędzia z drewna i mieć

ich kilka w zapasie.

Zastanowiwszy się nad tym, A'i'ach skonstatował, do czego naprawdę służy ostrze. Mógł uderzać z powietrza, póki Bestia nie zginie... nie, póki nie zginie ta bestia.

A'i'ach polował...

\*\*\*

Kilka godzin przed zachodem słońca Hugh Brocket i jego żona, Jannika Rezek, przygotowywali się do nocnej pracy, gdy zjawiała się Chrisoula Gryparis, mocno spóźniona. Burza najpierw zmusiła samolot do lądowania w Enrique, a potem, złośliwie pracując na zachód, zmusiła go do zatoczenia szerokiego łuku w czasie lotu do Hansonii. Nawet nie spostrzegła Oceanu Pierścieniowatego i przeleciała dobre tysiąc kilometrów w głąb lądu, po czym musiała skręcić na południe i wrócić tyle samo, by dotrzeć do ich wielkiej wyspy.

- Port Kato wygląda ogromnie odludnie z powietrza - zauważyła.

Choć z silnym obcym akcentem, jej angielski - język uzgodniony jako wspólny na tej stacji - był płynny; między innymi dlatego znalazła się tutaj, by zbadać możliwości znalezienia jakiegoś zajęcia.

- Bo jest odludny - oświadczyła Jannika, z własnym obcym akcentem. - Kilkunastu naukowców, może dwa razy tylu praktykantów i parę osób personelu pomocniczego. Dlatego

też będziesz tu szczególnie mile widziana.

- Co, czyżbyście się czuli osamotnieni? - zdziwiła się

Chrisoula. - Można przecież rozmawiać z każdym po stronie przyplanetarnej, kto ma holokom?

- Owszem albo polecieć do miasta służbowo lub na urlop

czy przy innej okazji- włączył się Hugh. - Ale choć obraz jest

stereoskopowy, a dźwięk plastyczny, jest to tylko obraz. Nie

można go przecież zabrać na drinka po rozmowie? Co do

wyjazdów zaś, to po nich zawsze się jednak wraca do tych

samych twarzy. Placówki naukowe stają się coraz bardziej

wyalienowane

towarzysko.

Sama

zobaczysz,

gdy

tu

przyjedziesz. Ale nie chciałbym - dodał pośpiesznie - byś

odniosła wrażenie, że cię zniechęcam. Jan ma rację, będziemy

szczęśliwi, gdy zjawi się tu ktoś nowy.

Jego obcy akcent wynikał z życiorysu. Język ojczysty -

angielski; Hugh jednak był Medeańczykiem w trzecim

pokoleniu, co oznaczało, że jego dziadkowie opuścili Amerykę

Północną tak dawno temu, iż język zmienił się podobnie jak

wszystko inne. Chrisoula zresztą nie była w tym wszystkim

zorientowana, skoro laserowa wiązka biegła z Ziemi na Kolchidę prawie pięćdziesiąt lat, a statek, którym tu przyleciała, uśpiona i nie starzejąca się, był o wiele wolniejszy...

- Tak, z Ziemi! - W głosie Janniki słychać było radość.

Chrisoula drgnęła.

- Gdy odlatywałam, na Ziemi było nieciekawie. Może później sytuacja się polepszyła. Proszę was, chętnie porozmawiam o tym później, ale teraz chciałabym się zająć przyszłością.

Hugh poklepał ją po ramieniu. Pomyślał, że Chrisoula jest dość ładna; z pewnością nie dorównywała Jan (niewiele zresztą kobiet mogło się z nią równać), ale gdyby ich znajomość miała rozwinąć się w kierunku łóżka, nie miałby nic przeciwko temu. Zawsze jakaś odmiana.

- Dziś jakoś szczególnie ci się nie wiodło, co? - mruknął. -

Najpierw to opóźnienie, póki Roberto... to znaczy dr Venosta nie wróci z obserwacji w terenie, a dr Feng z Ośrodka, dokąd pojechał z próbkami...

Miał na myśli głównego biologa i głównego chemika.

Specjalnością Chrisouli była biochemia; wszyscy mieli nadzieję, że skoro dopiero co przybyła, i to ostatnim z nieczęsto przylatujących statków międzygwiazdnych, przyczyni się istotnie do wyjaśnienia życia na Medei.

**Uśmiechnęła się.**

**- No, to zacznę od zapoznawania się z innymi, poczynając od was - dwojga miłych osób.**

**Jannika potrząsnęła głową.**

**- Przykro mi - rzekła - ale sami jesteście załatani; wkrótce wychodzimy i możemy nie wrócić przed świtem.**

**- To znaczy... kiedy? Za około trzydzieści sześć godzin?**

**Tak. Czy to nie za długo jak na wyprawy w... jak to powiedzieć?**

**W tak niesamowitym otoczeniu?**

**Hugh zaśmiał się.**

**- Taki jest los ksenologa, a oboje mamy tę specjalność -**

**odparł. - Mmm... myślę, że przynajmniej ja znajdę trochę czasu, by pokazać ci to i owo, wprowadzić cię we wszystko i w ogóle sprawić, byś czuła się jak u siebie w domu.**

**Ponieważ Chrisoula przybyła w tym punkcie cyklu**

**dyżurów, gdy większość ludzi jeszcze spała, skierowano ją do**

**kwatery Hugh'a i Janniki, którzy wcześniej wstali, by**

**przygotować się do wyprawy.**

**Jannika rzuciła mu ciężkie spojrzenie. Hugh był potężnie**

**zbudowanym mężczyzną, który obliczał swój wiek na**

**czterdzieści jeden lat ziemskich: krzepkiej budowy ciała, o**

**trochę niezgrabnych ruchach, z zawiązującym się brzuszkiem;**

**ostre rysy twarzy, jasne włosy, niebieskie oczy; ostrzyżony na**

**krótko, gładko wygolony, ale niechlujnie ubrany w kurtkę,**



**spodnie i wysokie buty, w stylu górników, wśród których się wychował.**

**- Ja nie mam czasu - oświadczyła. Hugh wykonał szeroki gest.**

**- Jasne, nie przeszkadzaj sobie, kochanie. - Ujął Chrisoulę pod łokieć. - Chodźmy się przejść.**

**Oszołomiona wyszła z nim z zagraconego baraku. Na podwórzu zatrzymała się i długo rozglądała dookoła, jak gdyby po raz pierwszy zobaczyła Medeę.**

**Port Kato był faktycznie niewielki. Aby nie zakłócać tutejszej ekologii takimi urządzeniami, jak oświetlenie ultrafioletowe nad poletkami uprawnymi, zaopatrywał się we wszystko, co mu potrzebne, w starszych i większych osadach po stronie przyplanetarnej. Poza tym, choć znajdował się w pobliżu wschodniego skraju Hansonii, usytuowano go jednak kilka kilometrów w głąb lądu, na wzniesieniu, by zabezpieczyć się przeciwko przypluwom Oceanu Pierścieniowatego, które potrafiły przybierać potworne rozmiary. W ten sposób przyroda otaczała i przygniatała grupę budowli ze wszystkich stron, gdziekolwiek by spojrziała... czy też słuchała, odczuwała powonieniem, dotykiem, smakiem, poruszeniem. Przy sile ciężenia nieco mniejszej niż na Ziemi jej chód był cokolwiek skoczny. Większa zawartość tlenu także dodawała energii, choć nie pozbyła się jeszcze związanego z tym podrażnienia błon**

śluzowych. Pomimo usytuowania w strefie tropikalnej powietrze było balsamiczne i niezbyt wilgotne, ponieważ wyspa leżała dość blisko strony odplanetarnej. Przesycaly je najróżniejsze zapachy, z których tylko kilka z nich przypominało te, które znała, w rodzaju piżma czy jodu.

Dźwięki też były obce; szelesty, tryle, skrzypienia, mamrotania, które gęsta atmosfera jeszcze bardziej wzmocniała.

Sama stacja miała obcy wygląd. Budynki wykonano z tutejszych materiałów, Według tutejszych projektów; nawet przetwornik energii promienistej nie przypominał niczego, co widziała na Ziemi. Zwielokrotnione cienie miały dziwny kolor; właściwie to w tym czerwonym świetle żaden kolor nie był taki jak zawsze. Drzewa wznoszące się nad dachem miały niezwykle kształty, a ich liście były zabarwione na różne odcienie oranżu, żółci i brązu. Między drzewami i wśród gałęzi śmigaly niewielkie stworzenia. Pojawiające się co jakiś czas w powietrzu świecące pasma nie wyglądały na zwykły kurz.

Niebo miało głębokie barwy. Nieliczne chmurki otaczał delikatny róż i złocistość. Podwójne słońce Kolchida (nagle astronomiczna nazwa „Kastor C” wydała się zbyt sucha) skłaniało się ku zachodowi. Oba składniki gwiazdy świeciły tak nikłym blaskiem, że przez krótką chwilę mogła patrzeć na nie bezpiecznie gołym okiem. Fryksos znajdował się bez mała w największym kątowym odchyleniu od Helle.

Po przeciwnej stronie królowała na niebie Argo, jak  
zawsze na stale skierowanej ku jej stronie Medei. W tym  
miejscu planeta główna wisiała nisko na niebie; wierzchołki  
drzew skrywały częściowo spłaszczoną tarczę. Światło dnia  
rozjaśniało nieco jej czerwony żar, który z nadejściem nocy  
jeszcze się wzmacni. Mimo to Argo była olbrzymem, o  
wielkości pozornej piętnaście czy szesnaście razy większej niż  
Luna nad Ziemią. Subtelnie zabarwione pasma i plamy na jej  
tarczy, nieustannie zmieniające się, były chmurami większymi  
niż całe kontynenty oraz trąbami powietrznymi, z których  
każda mogłaby połknąć cały ten księżyc, na powierzchni  
którego stali.

Chrisoula zadrżała.

- Tu... uderza mnie - wyszeptała - bardziej niż  
gdziekolwiek, w Enrique czy... podczas lądowania, że trafiłam  
do innego miejsca we Wszechświecie.

Hugh objął ją ręką w talii. Gładkie słowa zawsze  
przychodziły mu z trudnością, więc powiedział po prostu:

- Bo tu 001 jest inaczej. Właśnie dlatego istnieje Port

Kato: by badać szczegółowo obszar, który przez jakiś czas był  
izolowany. Mówi się, że przesmyk między Hansonią i resztą  
lądu zniknął dopiero piętnaście tysięcy lat temu. W każdym  
razie tutejsi dromidzi nigdy nie słyszeli o ludziach, zanim my  
się tu zjawiliśmy. Ouranidzi słyszeli jakieś plotki, co mogło

**mieć na nich pewien wpływ, ale niewielki.**

**- Dromidzi... ouranidzi... och! - Jako Greczynka**

**natychmiast zrozumiała znaczenie tych terminów. - Fuksy i baloniki, prawda?**

**Hugh zmarszczył czoło.**

**- Proszę cię, to niezbyt miłe żarty, nie uważasz? Wiem, że w mieście często się tak o nich mówi, ale moim zdaniem obie rasy zasługują na godniejsze nazwy. Pamiętaj: to istoty inteligentne.**

**- Przepraszam.**

**Uścisnął ją lekko. - Nic się nie stało, Chris. Jesteś tu nowa.**

**Kiedy po pytaniu zadany Ziemi czeka się sto lat na odpowiedź...**

**- Tak. Zastanawiałam się, czy to warto: rozmieszczać kolonie tak daleko poza Układem Słonecznym, po to, by otrzymywać wiedzę naukową z takim opóźnieniem.**

**- Masz w tej sprawie aktualniejsze dane niż ja.**

**- No więc... planetologia, biologia, chemia - wszystkie te nauki wypracowywały sobie nowe poglądy, gdy odlatywałam, a to dotyczyło każdej gałęzi wiedzy, od medycyny po regulację sejsmiczną. - Chrisoula wyprostowała się. - Może kolejnym etapem będzie wasz przedmiot, ksenologia? Jeśli potrafimy zrozumieć mózg nieczłowieka... nie, dwa mózgi na tym księżycu, a może nawet trzy, jeśli naprawdę istnieją tu dwa**

zupełnie odmienne typy ouranidów, jak słyszałam... - nabrała oddechu - no to wtedy może zyskamy szansę zrozumienia nas samych. - Wydawało mu się, że interesuje ją to naprawdę, że nie tylko stara się mu sprawić przyjemność, gdy mówiła dalej: -

Czym wy się tu właściwie zajmujecie, ty i twoja żona? W

Enrique mówili mi, że to coś zupełnie szczególnego.

- W każdym razie jest to w stadium eksperymentalnym.

- Nie chcąc przedobrzyć zabrał rękę z jej talii. - To skomplikowana sprawa. Może raczej wolałabyś wycieczkę po naszej metropolii?

- Później sama mogę się tu rozejrzeć, skoro musicie zająć się pracą. Ale zafascynowało mnie to, co słyszałam o waszej pracy. Czytanie myśli nieziemców!

- To wcale nie tak. - Chwytając nadarżającą się okazję, wskazał jej ławkę przy baraku maszynowni. - Jeśli naprawdę chcesz posłuchać, to usiądźmy.

W tym momencie ze swego baraku wyszedł botanik. Piet Marais. Ku uldze Hugh'a pozdrowił ich tylko, po czym pośpieszył dalej. Niektóre rośliny w Hansonii o tej porze dnia zachowywały się bardzo dziwnie. Pozostali uczeni znajdowali się jeszcze w kwaterach, kucharz z pomocnikiem przygotowywali

śniadanie,

reszta

zaś

myła

się

i

przygotowywała do kolejnego okresu dziennego.

- Myślę, że cię to zdziwiło :- zaczął Hugh. - Technika elektronicznej neuroanalizy była na Ziemi dopiero w powijakach, gdy odlatywał twój statek. Wkrótce potem nastąpił jej gwałtowny rozwój i oczywiście informacje na ten temat dotarły do nas na długo przed tobą. Stosowano ją dotąd zarówno na niższych zwierzętach, jak i na ludziach, więc było nam niezbyt trudno - zważywszy, że w Ośrodku mamy paru geniuszy - zaadaptować ją dla dromidów i ouranidów. W końcu oba te gatunki mają również systemy nerwowe, a sygnały są elektryczne. Szczerze mówiąc znacznie trudniej było opracować program niż sam sprzęt. Zajmujemy się tym z Janniką, zbierając dane doświadczone do wykorzystania przez psychologów, semantyków i informatyków.

Hm, nie chciałbym, żebyś mnie źle zrozumiała. Ola nas na razie wszystko jest nieomal sprawą przypadku. Mnemoskopia - nieładne słowo, ale jakoś się przyjęło - mnemoskopia będzie później cennym narzędziem w naszej właściwej pracy, polegającej na badaniu życia tubylców, ich myśli i uczuć, słowem wszystkiego na ich temat. Niemniej jednak, na razie

**jest to narzędzie bardzo nowe, bardzo ograniczone i bardzo nieobliczalne.**

**Chrisoula pogładziła się po podbródku.**

**- Powiem ci, co ja wiem, jak mi się zdaje - zaproponowała - a ty mi powiesz, w czym się pomyliłam.**

**- Jasne.**

**Zaczęła pedantycznie:**

**- Istnieje możliwość identyfikacji i zapisu wzorów synaptycznych odpowiadających impulsom motorycznym, doznaniom zmysłowym, ich przetwarzaniu, i na koniec, teoretycznie, myślom właściwym. Badanie jednak polega na mozolnym zbieraniu danych, ich interpretacji i korelacji owej interpretacji z odruchami werbalnymi. Wszelkie otrzymane wyniki można zmagazynować w komputerze w postaci mapy n-wymiarowej, z której da się robić odczyty. Dodatkowe odczyty można uzyskać .poprzez interpolację.**

**- Fiuu! - gwizdnął Hugh. - Mów dalej. - Nie pomyliłam się dotąd? Tego się nie spodziewałam.**

**- No więc oczywiście próbujesz w paru słowach naszkicować to, co jest potrzebne choćby do częściowego właściwego opisu wielu tomów matematyki i logiki symbolicznej. Ale i tak idzie ci lepiej, niż ja mógłbym to zrobić.**

**- No więc mówię dalej. Ostatnio opracowano różne systemy pozwalające na dokonywanie odniesień pomiędzy**

poszczególnymi mapami. Mogą one przekształcać wzory reprezentujące myśli jednego mózgu we wzory myślowe innego. Również możliwa jest bezpośrednia transmisja między układami nerwowymi. Wykrywa się wzór, tłumaczy w komputerze i indukuje elektromagnetycznie w mózgu odbierającym. Czyż to nie jest telepatia? Hugh zaczął kręcić głową, ale ograniczył się do słów:

- Mmmm... w jakiejś wyjątkowo prymitywnej postaci.

Nawet dwie istoty ludzkie, które myślą w tym samym języku i znają siebie nawzajem na wylot, nawet on« otrzymują tylko część

informacji:

proste

komunikaty

z

wieloma

zniekształceniami, niskim odstępem psfometrycznym i

powolnym tempem transmisji. A o ile gorzej rzecz się ma w

przypadku obcej formy życia! Weźmy choćby tylko inny język,

pomijając budowę neurologiczną, metabolizm...

- Ale próbujecie tego nie bez sukcesów, jak słyszałam.

- No, udało się nam uzyskać pewien postęp na

kontynencie w przypadku zarówno dromidów, jak i

ouranidów. Ale wierz mi, słowo „pewien” jest tu wielką



przesadą.

- A potem próbujecie tego na Hansonii, gdzie kultura miejscowa musi być wam całkowicie obca. Właściwie to gatunek „ouranid” ... Dlaczego? Czy przypadkiem nie dodajecie sobie zbytecznej pracy?

- Tak... to jest, dodajemy sobie pracy, ale nie jest ona zbyteczna. Widzisz, większość ze współpracujących z nami tubylców spędziło całe swe życie w pobliżu ludzi. Wielu z nich jest stałymi obiektami badań: dromidzi dla zapłaty, ouranidzi zaś dla satysfakcji psychicznej, zabawy, można by rzec. Są rasowo wykorzeni. Czasem nawet nie mają pojęcia, dlaczego ich „dzicy” krewniacy coś robią. Chcieliśmy sprawdzić, czy mnemoskopia może stać się narzędziem poznania czegoś więcej poza neurologią. Do tego celu potrzebne były nam istoty, które są stosunkowo, hm, nieskażone. Pan Bóg jeden wie, ile jest obszarów dziewiczych na całej półkuli przyplanetarnej. Ale tu oto istniał gotowy Port Kato, zaprojektowany do intensywnych badań w terenie, który jest zarówno izolowany, jak i ściśle ograniczony. Jan i ja postanowiliśmy, że możemy z powodzeniem do naszych programów badań włączyć mnemoskopię.

Wzrok Hugh'a powędrował ku ogromowi Argo i zatrzymał się na niej.

- Jeśli o nas chodzi - dodał cicho - jest to sprawa

przypadkowa: jeden ze sposobów wypróbowywanych w celu stwierdzenia, dlaczego tutaj dromidzi i ouranidzi prowadzą ze sobą wojnę.

- Przecież gdzie indziej też się nawzajem zabijają, prawda?

- Tak, na wiele sposobów, dla najróżniejszych przyczyn, o ile możemy to ustalić. Dla ścisłości, ja nie popieram poglądu, że na tej planecie tubylcy zdobywają, informacje poprzez zjadanie tych, którzy je posiadają. Po pierwsze, mógłbym ci pokazać mnóstwo obszarów, gdzie dromidzi i ouranidzi jak się wydaje żyją razem w pokoju. - Wzruszył ramionami. - Ziemskie narody nigdy nie były identyczne, dlatego więc spodziewamy się, że na Medei wszędzie ma być jednakowo?

- Na Hansonii wszakże... mówisz, wojna?

- To najlepsze określenie, jakie potrafię wymyślić. Och, żadna ze stron nie ma jakiegoś rządu, który mógłby ją wypowiedzieć. Faktem jednak jest, że przez ostatnie dwadzieścia lat - czyli tyle, ile obserwują ich ludzie - dromidzi z tej wyspy odczuwają coraz silniejszą żądzę mordy wobec ouranidów. Chcą ich zniszczyć! Ouranidzi są nastawieni pokojowo, ale potrafią się bronić, czasem aktywnymi środkami w rodzaju zastawiania pułapek. - Hugh skrzywił się. -

Widziałem kilka takich starć; oglądałem też skutki jeszcze większej liczby innych. Nie jest to przyjemne. Gdybyśmy my tu,

w Port Kato, mogli pośredniczyć - przynieść pokój - sądzę, że już to samo usprawiedliwiłoby obecność człowieka na Medei.

Chociaż chciał ująć ją swą życzliwością, nie zamierzał jednak grać świętoszka. Był pragmatykiem, niemniej jednak czasem zastanawiał się, czy człowiek ma prawo tu przebywać.

Długoterminowe badania naukowe były niemożliwe bez samodzielnie utrzymującej się kolonii, co z kolei narzucało jej odpowiednią liczbę ludzi, którzy w większości nie byli uczonymi. On na przykład był synem górnika i dzieciństwo spędził na prowincji. Prawda, osadnictwo ludzkie na Medei nie miało zwiększać swej liczebności ponad obecny poziom, a zresztą na większości powierzchni tego ogromnego księżyca panowały warunki nieodpowiednie dla ludzi, tak więc dalszy rozwój kolonizacji był mało prawdopodobny. Ale i tak tylko ze względu na swą obecność Ziemiańskie wywarli nieodwracalny wpływ na obie rasy tubylcze.

- Nie możecie ich spytać, dlaczego ze sobą walczą? -

zastanawiała się Chrisoula.

Hugh uśmiechnął się krzywo.

- O, tak, możemy spytać. Do tej pory opanowaliśmy tutejsze języki do celów praktycznych. Pytanie tylko: jak głęboko sięga nasze zrozumienie?

Posłuchaj: jestem specjalistą od dromidów, Jannika zaś od ouranidów i oboje .Usilnie się staraliśmy zdobyć przyjaźń

niektórych osobników. Mnie jest trudniej, bowiem dromidzi nie chcą przychodzić do Port Kato, dopóki nie mają pewności, że nie natkną się tu na jakiegoś ouranida. Przyznają, że byliby wtedy zmuszeni próbować go zabić - i przy okazji również zjeść: to ważny akt symboliczny. Dromidzi zgadzają się, że byłoby to pogwałcenie naszej gościnności. Dlatego też ja muszę się z nimi spotykać w ich obozowiskach i schronieniach.

Pomimo tego utrudnienia Jannika jest przekonana, że nie posunęła się dalej niż ja. Oboje jesteśmy na równi, w kropce.

- A co mówią tubylcy?

- No, przedstawiciele obu gatunków przyznają, że kiedyś żyli ze sobą w zgodzie... nie mając zbyt wielu bezpośrednich kontaktów, ale interesując się sobą nawzajem w znacznym stopniu. Potem zaś, dwadzieścia-trzydzieści lat temu, coraz więcej dromidów zaczęło tracić płodność. Coraz też częściej poszczególni osobnicy umierali nie przechodząc całego cyklu.

Przywódcy zdecydowali, że to wina ouranidów i że należy ich pozabijać.

- Dlaczego?

- Kanon wiary. Brak tu jakiegokolwiek uzasadnienia, które mógłbym rozpoznać, choć potrafię się domyślić motywów, w rodzaju potrzeby znalezienia kozła ofiarnego.

Nasi patolodzy szukają prawdziwej przyczyny, ale można sobie wyobrazić, ile czasu to zajmie. A tymczasem napaści i

zabójstwa się mnożą.

- Chrisoula popatrzyła na pokryty pyłem grunt.

- Może ouranidzi też się jakoś zmienili? Wówczas

dromidzi mogliby wyciągnąć pośpieszny wniosek o *post hoc*,  
*propter hoc*.

- He?

Gdy przetłumaczyła, Hugh zaśmiał się.

- Boję się, że brak mi oglądy - powiedział. - Pionierzy i

traperzy,

wśród

Oprych

się

wychowałem,

szanują

wykształcenie - bez niego nie przeżylibyśmy na Medei - ale

sami zbyt wiele go nie mają. Zainteresowałem się ksenologią,

bo jako dzieciak zaprzyjaźniłem się z jednym dromidem i

trwało to przez jego cały cykl - od okresu żeńskiego, poprzez

męski, do postseksualnego. Tak egzotyczne życie Pociągnęło

moją wyobraźnię.

Jego próba skierowania rozmowy na tory bardziej

osobiste nie powiodła się.

- Co zrobili ouranidzi? - nastawała Chrisoula.

- Och... przyjęli nową... nie, nie religię. To sugerowałoby

osobny przedział życia, prawda? A ouranidzi nie dzielą swego życia. Można to nazwać nową drogą, nowym Tao. Składa się na to ostatecznie lot ze wschodnim wiatrem poprzez ocean, by zginąć w chłodzie panującym na stronie odplanetarnej. To ma jakieś transcendentalne znaczenie. Nie pytaj mnie, jakie czy dlaczego. Nie potrafię też zrozumieć - ani Jannika - dlaczego dromidzi uważają to, co robią ouranidzi, za rzecz straszną. Mam pewne pomysły, ale to tylko hipotezy. Moja żona żartuje, że są to urodzeni fanatycy.

Chrisoula skinęła głową.

- Przepaść kulturowa. Powiedzmy, że współczesny materialista o niewielkiej empatii posiadał wehikuł czasu i udał się do czasów średniowiecza na Ziemi, by tam dowiedzieć się, jakie były powody krucjat czy mahometańskich świętych wojen. Wydałyby mu się bezsensowne. Bez wątpienia doszedłby do wniosku, że wszyscy zainteresowani postradali zmysły, a jedyną możliwą drogą do pokoju było całkowite zwycięstwo jednej strony nad drugą. Co, jak się okazało, nie było prawdą.

Hugh uświadomił sobie, że ta kobieta myśli bardzo podobnie do jego żony. Chrisoula mówiła zaś dalej:

- Czy nie mogłaby być taka możliwość, że powodem tych zmian jest człowiek, choćby pośrednio?

- Jest taka możliwość - przyznał. - Ouranidzi oczywiście

latają daleko, więc te z Hansonii mogły usłyszeć, z drugiej czy trzeciej ręki, opowieść o raju związanym z ludźmi. Sądzę, że to naturalne uważać, iż raj leży na zachodzie. Nie to, żeby ktoś z nas próbował nawracać tubylca, ale oni czasem pytali, jakie są nasze poglądy. A ouranidzi to urodzeni mitotwórcy, którzy podchwytyją każdy pogląd. Są również skłonni do ekstazy, nawet względem śmierci.

- Podczas, gdy dromidzi, jak usłyszałam, potrafią w ciągu nocy wymyślić nową, wojowniczą religię. Tak więc na tej wyspie nowa religia okazała się skierowana przeciwko ouranidom, co? To tragiczne... choć ma wiele wspólnego, jak sądzę, z prześladowaniami religijnymi na Ziemi.

- W każdym razie nie możemy im pomóc, dopóki nie zdobędziemy więcej informacji. Jan i ja pracujemy nad tym. Przeważnie przestrzegamy zwykłego sposobu postępowania: badania polowe, obserwacje, wywiady i tak dalej.

Eksperymentujemy również z mnemoskopia. Dziś zostanie ona poddana najpoważniejszej jak dotąd próbie.

Chrisoula usiadła wyprostowana, spięta.

- Co będziecie robić?

- Prawdopodobnie skończy się to niepowodzeniem. Sama jesteś naukowcem, więc wiesz, jak rzadko zdarzają się prawdziwe momenty przełomowe. My się tylko wlecemy przed siebie.

Gdy Chrisoula milczała, Hugh nabrał oddechu do dłuższej wypowiedzi.

- Dokładnie mówiąc - ciągnął - Jan wychowuje „dzikiego” ouranida, ja zaś „dzikiego” dromida. Namówiliśmy ich do podłączenia im miniaturowych nadajników mnemoskopowych i pracujemy nad nimi, by rozwinąć nasze własne możliwości. Tego, co odbieramy i tłumaczymy, nie ma zbyt wiele. Nasze oczy i uszy dają nam znacznie więcej informacji. Ale są to dane szczególne, uzupełniające.

Jak to wygląda? Och, nasz tubylec ma przyklejony do głowy aparat wielkości guzika - o ile w przypadku ouranida można mówić o głowie. Energii dostarcza ogniwo rtęciowe.

Aparat nadaje sygnał identyfikacyjny w paśmie radiowym; jego moc jest rzędu mikrowatów, ale wystarczy, by można było to odbierać. Transmisja danych potrzebuje oczywiście szerokiego pasma, nadajemy więc to wiązką ultrafioletową.

- Co takiego? - To zaskoczyło Chrisoulę. - Czy to nie jest niebezpieczne dla dromidów? Uczono mnie, że oni, podobnie jak większość zwierząt, muszą kryć się podczas wybuchów na słońcu.

- To promieniowanie ma moc bezpieczną, choćby z powodu ograniczeń energetycznych - odrzekł Hugh. -

Oczywiście przekaz może się odbywać tylko w linii wzroku, na odległość kilku kilometrów w powietrzu. Przy tym tubylcy obu



ras twierdzą, że potrafią wykryć fluorescencję gazu wzdłuż toru promieni. Choć oczywiście nie ujmują tego w tych słowach!

Tak więc Jan i ja polecimy osobnymi grawitolotami.

Zawiśniemy tak wysoko, że nie będzie nas widać, drogą radiową włączymy nadajniki i „dostroimy się” do naszych obiektów za pomocą wzmacniaczy i komputerów. Jak już powiedziałem, do tej pory uzyskiwaliśmy bardzo ograniczone rezultaty; jest to wyjątkowo mało wydajna telepatia. Dziś wieczór planujemy zintensyfikować wysiłki, ponieważ zdarzy, się coś ważnego.

Nie zapytała od razu, co to będzie, ale zamiast tego powiedziała:

- A czy próbowaliście nadawania do tubylca zamiast odbioru?

- Co takiego? Nie, nikt jeszcze tego nie próbował. Po pierwsze, nie chcemy, by wiedzieli, że ich obserwujemy. To prawdopodobnie wpłynęłoby na ich zachowanie. Poza tym żadna z ras medeańskich nie dysponuje niczym, co choć trochę przypominałoby kulturę naukową. Wątpię, czy zrozumieliby, o co chodzi.

- Naprawdę? Przy ich wysokim poziomie metabolizmu powiedziałabym, że powinni myśleć szybciej od nas.

- Wydaje się, że tak jest, choć nie potrafimy tego

zmierzyć, dopóki nie ulepszymy mnemoskopu, tak by umiał odczytywać myśli werbalnie. Do tej pory zidentyfikowaliśmy tylko wrażenia zmysłowe. Wróc tu za sto lat, to może ktoś ci odpowie na twoje pytanie.

Rozmowa stała się tak uczona, że Hugh z radością przyjął ukazanie się ouranida, które ją przerwało. Rozpoznał tego osobnika - samicę, pomimo tego, że była większa niż zazwyczaj: jej rozdęta wodorem kula osiągnęła pełne cztery metry średnicy. To spowodowało, że pokrywająca ją sierść stała się rzadka, tracąc swój perłowy połysk. Mimo to jednak miło było na nią patrzeć, jak przelatywała nad wierzchołkami drzew, w poprzek linii wiatru, a potem w dół. Z chwytymi wiciami powiewającymi u dołu w różnych konfiguracjach, by ułatwić kierowanie odrzutowym poruszaniem się w powietrzu, nie zasługiwała właściwie na nazwę „latającej meduzy” - choć Hugh widywał zdjęcia ziemskich „żeglarzy portugalskich” i uważał, że są piękne. Potrafił zrozumieć sympatię, jaką ta rasa budziła w Jannice.

Wstał.

- Pozwól, że ci przedstawię jedną z tutejszych osobistości

- rzekł do Chrisouli. - Niallah mówi trochę po angielsku.

Jednakże nie spodziewaj się, że od razu zrozumiesz jej wymowę. Prawdopodobnie przyleciała na mały handelek, zanim wróci do swej grupy na dzisiejsze wielkie wydarzenie.

**Chrisoula uniosła się z miejsca.**

**- Handelek? Wymiana?**

**- Aha. Niallah odpowiada na pytania, snuje opowieści, śpiewa pieśni, pokazuje manewry, cokolwiek zechcemy. W zamian za to musimy jej grać ludzką muzykę, zwykle Schonberga; szaleje za nim.**

**\*\*\***

**Przeskakując przez skałę Erakoum wyraźnie ujrzała Sarhoutha na tle Maududeka. Księżyc zbliżał się ku słonecznej pełni przechodząc przez czerwony żar planety. Jego tarcza niewielka wobec jej ogromu zdawała się mniejsza dla oczu niż, plama, która również pojawiła się w polu widzenia, a jego zimne światło nieomal zniknęło jakiś czas temu, gdy księżyc przechodził ponad jednym z pasów wyraźnie otaczających Mardudeka. Pasy owe po zmroku jaśniały; mędrce, tacy jak Yasari, uważali, że odbijają one światło słoneczne.**

**Przez chwilę Erakoum zapatrzyła się w ten widok: kule poruszające się w bezkresnej przestrzeni po okręgach wewnątrz większych okręgów. Wierzyła, że sama zostanie mędrce; ale nie będzie to wkrótce. Czekal ją jeszcze drugi okres rozrodczy, odrzucanie i pilnowanie drugiego segmentu, pomoc w opiece nad młodymi, które z niego wyjdą; a potem stanie się samcem, którego czekały obowiązki w zakresie poczęć, dopóki ta potrzeba tak samo nie zaniknie i nie**

nadejdzie czas spokoju.

Z ukłuciem bólu przypomniała sobie swój pierwszy, bezpłodny rozród. Segment chodził chwiejnie tu i tam przez jakiś czas, dopóki nie upadł i nie umarł, jak wiele innych, tak wiele. To Latacze spowodowały tę klątwę. Musiały to być one, jak przepowiedział prorok Ildamen. Ich nowa metoda lotu na zachód, gdy się zestarzeją, aby nigdy nie powrócić, zamiast opaść na ziemię i oddać jej, gnijąc, swe szczątki, jak tego sobie życzy Mardudek, z pewnością rozgniewała Czerwonego Strażnika. Na Lud nałożony został obowiązek odwetu za ten grzech przeciwko naturalnemu porządkowi rzeczy. Dowodem był fakt, że samice, które na krótko przed zapłodnieniem zabiły i zjadły Latacza, zawsze wydawały zdrowe segmenty, które przynosiły żywe potomstwo.

Erakoum przysięgła sobie, że dziś wieczór ona będzie taką właśnie samicą.

Zatrzymała się, by zaczerpnąć tchu i rozejrzeć się po okolicy. Tutaj urwiska stanowiły granice fiordu, w którym woda była o wiele spokojniejsza niż znajdujące się poza nią morze, i jaskrawo odbijała światło padające ze wschodu.

Ciemna plama zdradzała obecność masy pływających wodorostów. Może to właśnie rośliny r tego rodzaju, w którym pączkują Latacze w swym ohydny dzieciństwie? Z tej odległości Erakoum nie potrafiła tego stwierdzić. Czasem

**dzielni przedstawiciele jej rasy wyprawiali się na kłodach  
drewna usiłując dotrzeć do tych wylęgarni i zniszczyć je, ale nie  
udawało się im to i często ginęli w zdradliwych olbrzymich  
falach.**

**Na zachodzie wznosiły się poszarpane, pokryte lasem  
wzgórza, gdzie czaiła się ciemność. Na tle ich cieni tańczyły  
błyski złocistych iskier tysiącami, milionami na całym terenie.**

**Były to ogniste pajęczki. Przez ponad sto dni i nocy żyły jako  
jaja, a potem robaczki głęboko ukryte w podszyciu leśnym.**

**Teraz zaś Sarhouth przechodził przez Mardudeka dokładnie tą  
drogą, na której tajemniczo się pojawiały. Wypelzały na  
powierzchnię, rozpościerały skrzydła, które im wyrosły, i  
ulatywały, świecące, by się rozmnażać.**

**Kiedyś zdawały się Ludowi tylko przyjemnym dla oczu  
widokiem. Potem pojawiła się konieczność zabijania Lataczy...  
a te gromadziły się stadami, by żerować na chmarach  
pajęczków.**

**Nisko  
zawieszane,  
nieostrożne**

**w**

**swych**

**swawolach, dawały się łatwiej zaskoczyć niż zazwyczaj.**

**Erakoum uniosła włócznię z grotem z obsydianu; pięć innych**

miała przytroczonych do grzbietu. Pewna liczba Osób spędziła ten dzień zastawiając sieci i pułapki, ale ona uważała to za niepraktyczne; Latacze to nie zwykły skrzydlaty lup. W każdym razie ona chciała cisnąć włócznią, strącić ofiarę i zatopić kły w jej drobnym ciele sama!

Noc wokół niej była pełna szelestów. Napawała się zapachem gleby, roślin, gnicia, nektaru, krwi, dążeń. Ciepło, jakie dawał Mardudek, przesączało się przez chłodny wietrzyk, omywając jej sierść. Na wpół dostrzeżone przemykające się kształty, na wpół słyszane szelesty w podszyciu to jej towarzysze. Nie zebrali się w jedną grupę, ale poruszali się wedle własnego uznania, trzymając się mniej więcej w zasięgu słuchu. Ktokolwiek pierwszy zobaczy lub zwietrzy Latacza, da znać gwizdem.

Erakoum znajdowała się dalej od swoich towarzyszy niż ktokolwiek inny. Pozostali obawiali się, że promień światła strzelający w górę z niewielkiej skorupy na jej grzbiecie zdradzi ich wszystkich. Ona zaś nie uważała tego za prawdopodobne, skoro niebieskawa poświata była tak nieznaczna. Człowiek zwany Hughem dobrze jej zapłacił w towarach wymiennych za noszenie tego talizmanu, gdy o to prosił, oraz za późniejsze omawianie z nią jej przeżyć. Co do niej, to odczuwała wówczas mroczny dreszcz, nie przypominający niczego, z czymkolwiek dotychczas spotkała się na tym świecie; przychodziła do niej

wiedza, jakby we śnie, ale bardziej realna. Korzyści warte były tej niewielkiej zawady podczas niektórych łowów... nawet dzisiejszych łowów.

Poza tym... było coś, czego nie powiedziała Hughowi, ponieważ on też wcześniej coś przed nią zataił. O tym czymś dowiedziała się bez słów ze świecą skorupy snów.

Oto pewien Latacz również miał taką skorupę, przez co znajdował się w szczególnej więzi z człowiekiem.

Owe wielkie, groteskowe stworzenia szczerze zobowiązywały się do neutralności w konflikcie między Ludem i Lataczami. Erakoum nie miała im tego za złe. Ten świat nie był ich domem i nie można było oczekiwać, że możliwość wymarcia tutejszych mieszkańców cokolwiek ich obchodzi.

Mimo to sprytnie wydedukowała, że będą chcieli zataić jednoczesne kontakty z przedstawicielami obu ras.

Skoro Hugh tak chciał, by tej nocy była związana z nim duchem, niewątpliwie inny człowiek chciał tego samego od jakiegoś Latacza. Toteż ze szczególną radością strąci właśnie tego Latacza. Poza tym szukanie bladego promienia pośród ognistych pajęczków i gwiazd może naprowadzić ją na trop

**całej zgrai nieprzyjaciół. Odpocząwszy ruszyła w głąb lądu.**

**Erakoum polowała.**

**\*\*\***

**Przez całe życie Jannika Rezek tęskniła za krajem, w którym nigdy nie mieszkała.**

**Jej rodzice dopuścili się politycznej obrazy rządu**

**Federacji Dunajskiej, który poinformował ich, że unikną domu reindoktrynacyjnego,**

**jeśli**

**zgodzą**

**się**

**dobrowolnie**

**reprezentować swój kraj w kolejnym transporcie osadników na**

**Medeę. Nie mieli więc praktycznie wyboru. Niemniej jednak**

**ojciec powiedział jej później, że tuż przed zapadnięciem w sen**

**hibernacyjny myślał o tej ironii, że gdy się obudzi, żaden z jego**

**sędziów nie będzie już żył i nikomu już nie będzie zależało, a**

**nawet nikt nie będzie pamiętał, o co w ogóle szło w tej sprawie.**

**Już u celu podróży ojciec dowiedział się, że nawet Federacja**

**Dunajska już nie istnieje.**

**Pozostawała w mocy zasada, że z wyjątkiem załóg statków**

**żadna osoba nie miała drogi powrotu. Zbyt drogo kosztowała**

**podróż, by sprowadzić na Ziemię pasażera - bezużytecznego**

**wyrzutka z przeszłości. Rodzice Janniki starali się swoje**



wygnanie uczynić jak najmniej dotkliwym. Oboje fizycy, spotkali się z gorącym przyjęciem w Armstrong i jego rolniczym zapleczu. Na ile to było możliwe w skromnych warunkach na Medei, powodziło im się dobrze i w końcu zdobyli rzadki przywilej. Liczba ludzi mieszkających na Medei osiągnęła prawnie dopuszczalną granicę; przekroczenie jej spowodowałoby tłok w tych ograniczonych miejscach, gdzie można było żyć, jak również zakłócenia w badanym środowisku. Aby zrównoważyć niepowodzenia rozrodcze, kilku parom na pokolenie zezwalano na posiadanie trojga dzieci. Wśród nich znaleźli się rodzice Janniki.

Toteż wszyscy, włączając w to przymusowo ją samą, uważali, że ma szczęśliwe dzieciństwo. Było ono również wysoce cywilizowane; zapisy molekularne, jakie zgromadził Ośrodek, obejmowały większość kultury wytworzonej przez ludzkość. Przemysł rozwinął się w końcu w takim stopniu, że lepiej sytuowane rodziny mogły sobie pozwolić na aparaturę odtwarzającą owe zapisy w takiej stereoskopii i stereofonii, jaka była potrzebna. Jej rodzice korzystali z tej możliwości, by złagodzić swą tęsknotę za ojczyzną, nie zastanawiając się nad tym, jakie skutki może to wyrzeć na młodych sercach.

Jannika wychowywała się wśród ożywionych duchów: stare wieże w Pradze, wiosna w Czeskim Lesie, Boże Narodzenie w wiosce, której minione wieki niemal nie tknęły, sala

koncertowa, gdzie muzyka triumfalnie falowała ponad  
świętecznie ubranymi słuchaczami, których było więcej niż  
wszystkich osadników w Armstrong, repliki wydarzeń, które  
ongis wstrząsały Ziemią, pieśni, wiersze, książki, legendy,  
baśnie... Czasem zastanawiała się, czy przypadkiem jej  
zainteresowanie ksenologią nie zostało spowodowane przez  
ouranidów, którzy wyglądali jak lekkie, jasne duszki z bajek.

Dzisiaj, gdy Hugh wyszedł z Chrisoulą, stała przez chwilę  
patrzając za nimi. Pokój momentalnie zrobił się przytłaczający,  
jakby chciał ją stłamsić. Zrobiła tyle, ile mogła, by stał się  
bardziej przytulny, rozwieszając zasłony, obrazy, pamiątki.  
Teraz jednak zawalony był sprzętem, a Jannika nie znosiła  
bałaganu. Hughowi nie zależało na porządku.

Znowu powróciło pytanie: czy w ogóle mu na czymś  
jeszcze zależało? Gdy się  
pobierali, kochali się oczywiście, ale nawet ona uznała, że  
było to małżeństwo w znacznym stopniu z rozsądku. Oboje  
starali się o wyznaczenie na odległą placówkę, gdzie będą mieli  
największe  
szansę  
dokonania  
naprawdę  
znaczących,  
oryginalnych odkryć. Preferowano małżeństwa, wedle teorii,

że mniej będą ich rozpraszać sprawy pozanaukowe niż samotnych. Kiedy tym małżeństwom rodziły pierwsze dzieci, z zasady przenoszono je do miasta.

Oboje wielokrotnie się o to spierali. Nacisk społeczny - uwagi, aluzje, wstydlive unikanie tematu - coraz mocniej domagał się, by przyczynili się do reprodukcji biologicznej kolonii. W ramach zakreślonych liczbą mieszkańców pożądane było stworzenie jak największej puli genetycznej. Poza tym trochę już Jannika robiła się za stara na macierzyństwo. Hugh bardzo chciał zostać ojcem, ale z góry przesądzał, że ona zajmie się domem, podczas gdy on pozostanie przy ich dyscyplinie.

Nie powinna robić mu wymówek, gdy wróci ze swego poświęconego umizgom spaceru. Za często ostatnio traciła spokój ducha; robiła się z niej istna złoźnica, aż Hugh jak huragan wybiegał z baraku lub chwytal butelkę whisky i lał ją w siebie. Nie był złym człowiekiem - w głębi ducha był dobry, spiesznie się poprawiała - często bezmyślny, ale z dobrymi intencjami. W jej wieku nic lepszego się nie trafi.

Chociaż... Poczula gorąco na policzkach, wykonała gest, jakby chciała odpędzić wspomnienie, i nie udało się jej. Było to dwa dni temu.

Dowiedziawszy się od AYacha o Czasie Blasku, postanowiła zebrać okazy larw świecących żuczków. Do tej pory ludzie wiedzieli po prostu, że dorosłe insektoidy roily się

mniej więcej co rok. Skoro było to tak ważne dla mieszkańców

Hansonii, powinna się dowiedzieć czegoś więcej o tym.

Zaobserwować sama, poprosić o pomoc biologów, ekologów, chemików... Zapytała Pięta Maraisa, dokąd ma pójść, a on zaofiarował się, że ją tam zaprowadzi.

- Powinienem był dawno o tym pomyśleć - rzekł. - Żyjąc w próchnicy larwy muszą stymulować wzrost roślin.

Potrzebna była wilgotniejsza gleba niż ta, która otaczała Port Kato. Udali się więc do odległego o kilka kilometrów jeziora. Spacer był łatwy, ponieważ podszycie, mało rozwinięte ze względu na gęste listowie drzew, nie utrudniało marszu.

Miękkie podłoże tłumilo odgłos kroków, drzewa tworzyły lukowate nawy, liczne promienie światła słonecznego przenikały przez mrok i zapachy lasu, by sięgnąć ziemi lub odbić się od malutkich skrzydełek; dźwięki niczym lira dobywały się z niewidzialnego gardła.

- Jak cudownie - odezwał się po jakimś czasie Pięt.

Patrzył na nią, nie przed siebie. Stała się nagle ostro świadoma jego jasnowłosej męskiej urody. I jego młodości, upomniała siebie samą. Ustępował jej wiekiem nieomal o dziesięć lat, choć był to człowiek dojrzały, rozważny, wykształcony - mężczyzna w każdym calu.

- Tak - wyrwało się jej. - Szkoda, że nie potrafię tego docenić tak jak ty.

- Nie jesteśmy na Ziemi - zauważył. Zdała sobie sprawę, że jej odpowiedź zabrzmiała mniej wymijająco, niż sobie tego życzyła.

- Nie użalałam się nad sobą - rzuciła szybko. - Nie myśl tak, proszę cię. Widzę tu piękno i oczarowanie, i swobodę, o tak, jesteśmy szczęśliwi na Medei. - Próba śmiechu: - No, wszak na Ziemi nie mogłabym nic zrobić dla ouranidów, nie?

- Kochasz ich, prawda? - spytał poważnie.

Skinęła głową. Położył dłoń na jej obnażonym ramieniu.

- Wiele w tobie miłości, Janniko.

Zmieszana, usiłowała spojrzeć na siebie z jego punktu widzenia. Oto kobieta średniego wzrostu, o figurze oszalamiającej, doskonale o tym wiedziała; ciemne włosy do ramion przetykane srebrnymi pasmami (tak by chciała, aby Hugh przekonywał ją, że zbyt wcześnie zaczęła siwieć), wydatne kości policzkowe, zadarty nos, ostry podbródek, cera o barwie kości słoniowej. Choć Piet był kawalerem, mężczyzna tak atrakcyjny nie powinien mieć trudności, mógł spotykać się z dziewczętami podczas wyjazdów do miasta i podtrzymywać znajomości przez holokom. Nie powinien tak jej adorować.

Ona sama nie powinna się na to zgadzać. Pewnie, miała kilkakrotnie innych mężczyzn, zarówno przed, jak i po ślubie.

Nigdy jednak w Port Kato - zbyt łatwo byłoby o komplikacje, a poza tym sama się Wyciekała, gdy Hugh miał jakiś romans na

miejscu. Co gorsza, podejrzewała, że pięć widział w niej nie tylko partnerkę do jednorazowej przygody. Takie rzeczy mogą złamać życie.

- Och, spójrz - powiedziała i usunęła się od dotyku, by wskazać skupisko ostrosłupowych nasienników. Jednocześnie jej umysł przyszedł z pomocą. - Zapomniałam ci powiedzieć; dziś rozmawiałam z profesorem al-Ghazim. Wydaje nam się, że poznaliśmy powód metamorfozy i rojenia się świecących żuczków.

- Co takiego? - zamrugał oczyma. - Nie sądziłem, że ktoś się tym zajmuje.

- No więc był to... pomysł, który przyszedł mi do głowy, kiedy mój ouranid zaczął swoje rozważania na temat żuczków.

On, to znaczy AYach, powiedział mi, że czas zjawiska nie zależy ściśle od pory roku. Tu w tropikach to nie jest konieczne, ale wyznacza go Jason, księżyc - dodała, ponieważ nazwa nadana przez ludzi najbardziej spośród wielkich satelitów zbliżonemu do planety, przypadkiem była podobna do słowa przejętego przez ludzi od dromidów w regionie Enrigue, którym określali oni wiatr podobny do sirocco.

- On mówi, że metamorfozy następują podczas pewnych tranzytów Jasona przez tarczę Argo - ciągnęła. - W przybliżeniu co czterechsetny, dokładnie zaś wstępuje to co około stu dwudziestu siedmiu dni medeańskich. Tubylcy w tym

**regionie są równie świadomi istnienia i ruchów ciał**

**niebieskich jak gdziekolwiek indziej. Ouranidzi mają święto w**

**czasie rojenia się żuczków; to ich przysmak. No więc to**

**podsunęło mi pomysł i połączyłam się z Ośrodkiem z prośbą o**

**wyliczenia astronomiczne. Okazuje się, że miałam rację.**

**- Wyjaśnienie astronomiczne dla żyjącego pod ziemią**

**robaka? -wykrzyknął Marais.**

**- No, z pewnością przypominasz sobie, że Jason wzbudza**

**aktywność elektryczną w atmosferze Argo, podobnie jak Io w**

**przypadku Jowisza... w Układzie Słonecznym, w którym krąży**

**Ziemia! W naszym przypadku powstaje wiązka radiowa na**

**jednej z generowanych częstotliwości, taki naturalny maser.**

**Dlatego do Medei docierają owe fale tylko wtedy, gdy oba**

**księżyce znajdują się na liniach węzłów. A następuje to właśnie**

**w takich odstępach, o jakich wspominał mój znajomy. I faza też**

**jest odpowiednia.**

**- Ale czy robaczki są w stanie wykryć tak słaby sygnał?**

**- Myślę, że jest to oczywiste. Jak to się dzieje, nie potrafię**

**odpowiedzieć bez pomocy specjalistów. Pamiętaj jednak, że**

**Fryksos i Helle nie powodują zbyt wielu zakłóceń. Organizmy**

**bywają fantastycznie czule. Czy wiesz, że wystarczy mniej niż**

**pięć fotonów, by pobudzić czerwoną plamkę w twoim oku?**

**Sądzę, że fale z Argo przenikają do gleby na głębokość paru**

**centymetrów i zaczynają łańcuch reakcji biochemicznych. Nie**

ma wątpliwości, że jest to pozostałość ewolucyjna z czasów, kiedy orbity Jasona i Medei dokładnie odpowiadały porom roku. Zaś perturbacje nieustannie powodują zmiany w ruchu księżyców, wiesz o tym.

Milczał przez chwilę, nim się odezwał:

- Wiem, że jesteś wyjątkowym człowiekiem, Janniko.

Udało się jej odzyskać na tyle równowagę, by panować nad przebiegiem rozmowy, dopóki nie dotarli do jeziora. Tam, przez chwilę, znowu odczuła wstrząs.

Jezioro leżało za zasłoną gaju bambusowego, toteż dopiero gdy go minęli, zatrzymali się na brzegu wysłanym przypominającą mech darnią o barwie bursztynu. Nie tknięta przez człowieka w jej leśnym pucharze woda pieniała się, bulgotała, pachniała. Delikatne kolory i zapach żywych organizmów nie drażniły wzroku ni powonienia; tu były normalne... ale teraz przypomniła sobie srebrzystoblękitny połysk Jeziora Nezyderskiego w Federacji Dunajskiej. Oddech zaświszczał jej między zębami.

- Co się stało? - Pięt spojrział tam, gdzie patrzyła. -

Dromidzi?

W pewnej odległości pojawiło się kilka owych istot, które przybyły tu, by się napić. Jannika wpatrywała się w nie, jakby widziała je po raz pierwszy.

Najbliżej



była

młoda

samica,

zapewne

jeszcze

bezpotomna, miała bowiem sześć nóg. Ponad smukłym

tułowiem o długim ogonie unosił się centaurowaty tors

zakończony dwoma ramionami, a nad nimi osobliwie lisa

głowa, która sięgnęłaby Jannice do piersi. Sierść dromida

połyskiwała czarnoniebiesko w świetle słońc; Argo skryła się za

drzewami.

Trójka czworonożnych matek pilnowała znajdującej się

wśród nich ósemki małych. Jedna para potomstwa wskazywała

przez swe rozmiary, że u ich matki wkrótce znowu wystąpi

jajeczkowanie, zapłodnienie w czasie godów, a wkrótce potem

odrzućcie drugiego segmentu i opieka nad nim, aż do

narodzin. Kolejny dromid przeszedł już przez ten etap; chodził

na dwóch nogach i przestał być już funkcjonalną samicą, ale

męskie gonady jeszcze się u niego nie rozwinęły.

Nie było ani jednego samca w okresie rozrodczym. Tych

zbyttno porywały żądze, niecierpliwość, gwałtowność, by

szukali towarzystwa. Natomiast w grupie znajdowali się trzej

osobnicy w wieku postseksualnym; posiwiali, ale mocni i opie-

kuńczy. Ich dwunogi chód, szybki wedle kategorii ludzkich, nie

mógł się jednak równać z błyskawicznie płynnymi ruchami ich towarzyszy.

Wszystkie

dorośle

osobniki

były

uzbrojone

w

charakterystyczne dla epoki kamiennej włócznie, toporki i noże; uzbrojenia dopełniały ich własne zęby mięsożerców.

Dromidzi zniknęli nieomal natychmiast, gdy Jannika ich zobaczyła; nie ze strachu, ale dlatego, że byli to mieszkańcy Medei, których metabolizm i życie były szybsze niż jej.

- Dromidzi - wydobyła z siebie.

Pięt przyglądał się jej przez chwilę, nim powiedział cicho:

- Oni tępią twoich ukochanych ouranidów. Mówisz mi, że to się nasila tej nocy, gdy roją się świecące żuczki. Ale nie wolno ci ich nienawidzić. Dotknęła ich tragedia.

- Tak, problem bezpłodności, wiem. Ale czemu chcą, by razem z nimi ginęli ouranidzi? - Uderzyła pięścią w rozwartą dłoń. - Wracajmy do pracy, zbierajmy próbki i chodźmy do domu. Proszę cię, dobrze?

Rozumiał ją całkowicie.

...Odrzuciła wspomnienia i zajęła się przygotowaniami do

**nocnej wyprawy.**

**Hugh i Jannika wyruszyli nieco po zachodzie słońca.**

**Śmigacze odleciały z szumem, osiągnęły średnią wysokość i przez chwilę krążyły, podczas gdy oboje wyszukiwali właściwy kierunek i wymieniali przez radio pożegnania. Z dołu, w ostatnich promieniach Kolchidy odbijających się od kadłubów, śmigacze wyglądały jak dwie łzy.**

**- Dobrych łowów, Jan.**

**- Fe! Nie mów tak.**

**- Przepraszam - rzekł sztywno i wyłączył nadajnik.**

**Jasne, zachował się nietaktownie, ale czemu ona jest tak cholernie drażliwa?**

**Nieważne. Ma wiele pracy. Erakoum obiecała zjawić się o tej porze na Wzgórzach Katastrofy, jej grupa bowiem wybierała się najpierw na północ, wzdłuż wybrzeża, nim skieruje się w głąb lądu. Później nie będzie można przewidzieć, gdzie ją poniesie. Trzeba szybko odszukać jej nadajnik.**

**Śmigacz Janniki zginął z oczu, kierując się w swoją stronę.**

**Hugh włączył pilota inercyjnego i odchylił się w pasach, by jeszcze raz sprawdzić instrumenty. Robił to automatycznie, wiedział bowiem, że wszystko jest w porządku. Jego umysł błędził swobodnie.**

**Widok z kopuły kabiny był tytaniczny. W dole leżały wzgórza skryte w pocętkowanych masach cienia, tu i ówdzie**

**przetykane**

**srebrnymi**

**nitkami**

**rzek**

**lub**

**przerywane**

**rozpadlinami i skarpami. Dziеляcy planetę na dwie połowy**

**Ocean Pierścieniowaty zmieniał wschodni horyzont w masę**

**żywego srebra. Na zachodnim niebie podwójne słońce**

**pozostawiło po sobie purpurową poświatę. Nad głową niebo**

**było już aksamitnie ciemne, a z każdym uderzeniem serca**

**pojawiało się na nim coraz więcej gwiazd. Hugh dostrzegł parę**

**księżyców tak blisko, że widać było ich tarcze oświetlone z**

**jednej strony na rdzawo, z drugiej ha bialo; dostrzegł też inne,**

**ukazujące się jego oczom jako punkty światła na nieboskłonie.**

**Rozpoznał je dzięki położeniu na niebie, na którym pełniły swą**

**wartę wśród gwiazdozbiorów. W dole, nisko nad morzem,**

**żarzyła się Argo - nie, raczej świeciła, jej wyższe chmury**

**bowiem odbijały światło dnia niczym pasy jasności na**

**ciemnoczerwonym tle. Jason zbliżał się do tranzytu, a jego**

**średnica kątowna przekraczała dwadzieścia minut łukowych;**

**mimo to Hugh z trudnością odszukał go w tym blasku. W polu**

**widzenia pojawiło się wybrzeże. Włączył detektor i ustawił**

**napęd na swobodne unoszenie się w zawieszeniu. Zapaliła się**

na zielono lampka; nawiązał kontakt. Wzniósł pojazd na pełną wysokość trzech kilometrów. Częściowo postąpił tak dlatego, że chciał skupić się na napływających danych encefalicznych i potrzebował dużego marginesu bezpieczeństwa na błąd w pilotażu, a częściowo, ponieważ chciał znaleźć się poza zasięgiem wzroku i słuchu tubylców, by jego obecność nie wpłynęła na ich postępowanie. Zająwszy stanowisko, włączył odbiornik w hełmie i umocował go na głowie; nie ważył zbyt wiele. Przekazane, wzmacnione, przetworzone, ponownie wzbudzone - wydarzenia w układzie nerwowym Erakoum splotły się z wydarzeniami w jego układzie.

W żadnym wypadku nie osiągał w ten sposób pełnej świadomości dromida; przekaz i tłumaczenie były na to zbyt prymitywne. Hugh całe swe zawodowe życie poświęcił na uzyskiwanie możliwości zespolenia się z tym gatunkiem; przy maksymalnej cierpliwości, jaką on i Erakoum potrafili utrzymać przez te lata, doszedł ledwie do etapu interpretacji zebranych sygnałów. Szybkość procesów umysłowych tubylców raczej nie pomagała - poprzez powtarzanie i wzmacnianie - lecz przeszkadzała. Można by spróbować wyobrazić sobie poprzez pewną przybliżoną analogię przysłuchiwanie się szybkiej i prawie niesłyszalnej rozmowie, gdy gubi się prawie każde słowo, ponieważ prowadzona jest w języku, którego słuchający nie zna. Faktycznie zaś Hugh w ogóle nie odbierał myśli

werbalnych: docierał do niego widok, dźwięk, zespół doznań zmysłowych, włączając w to również wewnętrzne, jak równowaga i głód, a także mgliste napomknienia o zmysłach, których on sam zapewne nie posiadał.

Widział, jak przemyka pod nim ziemia, krzewy, gałęzie, stoki, gwiazdy i księżycy ponad poszarpanymi krawędziami; odczuwał ich zmienne kształty i fakturę pod kroczącymi stopami; słyszał przeróżne ciche odgłosy; czuł bogactwo aromatów. Doznania nadciągały bez przerwy, w większości przelotne i niewyraźne, wystarczająco silne zaś, by wyjąć go z ciała i ściągnąć na ziemię ku jedności z przemykającym w dole stworzeniem.

Najwyraźniejsze, chyba dlatego, że w ten sposób ulegały stymulacji jego własne gruczoły, były emocje, determinacja.

Erakoum wyruszyła, by zabić Latacza.

Zapowiadała się długa i prawdopodobnie męcząca noc.

Hugh spodziewał się, że raz czy dwa razy będzie musiał sięgnąć po lek zastępujący sen. Ludziom nigdy nie udawało się odzwyczaić od starodawnych rytmów Ziemi. Dromidzi drzemali, ouranidzi... śnili na jawie? Kontemplowali?

Tak jak to się często zdarzało przedtem, pomyślał przez chwilę, jak przebiega kontakt Jan z jej tubylcem. Nigdy nie będą mogli opisać sobie nawzajem swych doznań.

\*\*\*

**W głębi wzgórz Rój A'i'acha odkrył wielką mnogość**

**gwiezdlików. Pagórki były rzadziej zalesione od nizin, co pomagało, świetlisty żer bowiem rzadko unosił się wysoko, a latając pod koronami drzew. Lud padał ofiarą Bestii. Tu zaś teren był otwarty, porośnięty darnią i usiany głazami; poznaczony polanami leżącymi w cieniu drzew. Największą z nich przecinała wąska rozpadlina - blizna wypełniona ciemnością.**

**Niczym nieskończony prysznic iskier gwiezdliki tańczyły, śmigaly, uskakiwały; nieprzeliczone, przeznaczone jedynie do rozkoszy godów oraz na żer Ludu. Pomimo swej ostrożności A'i'ach nie potrafił opierać się dłużej od innych; nie starał się jednak przyspieszyć opadania, wypuszczając gaz tak jak wielu innych. To utrudniłoby później wznoszenie się. Zamiast tego skurczył swe kuliste ciało i powoli opuszczał się, czasem rozkurczając się w zależności od zmiennej gęstości powietrza. Nie użył też upustu gazu w celu uzyskania napędu. Rytmicznie pulsując, jego syfon współpracował z powiewami wiatru, by nieść go zygzakiem z niewielką szybkością. Nie miał się gdzie śpieszyć. Gwiezdlików było więcej, niż Rój byłby w stanie zjeść; wiele z nich uleci wolno, by złożyć jaja na następne żniwo. Znalazszy się wśród insektoidów A'i'ach wchłonął ich pierwszą porcję. W ciele zaśpiewał mu słodki, gorący aromat. Gęsto skupiony wokół niego, podrygujący obracający się,**

**falujący i wymachujący ekstatycznie rzęskami, wypełniający niebo muzyką, Lud zapomniał o ostrożności. Zaczęła się miłość. Nie było to bezcelowe, choć przy braku wody, do której mogłyby wpaść, zapylone nasionka nie zakiełkowałyby. Miłość jednoczyła wszystkich. W blasku Ruii pył życia unosił się niczym dym; widok, zapach, smak nadały gorączkowość tej radości, którą obudziła gwiazdlikowa uczta. A'i'ach wykrzyknął raz, potem wiele razy. Wyszedł poza własne ciało, stał się komórką jednej niebiańskiej istoty, która sama w sobie była huraganem miłości. Kiedyś, gdy poczuje na sobie ciężar lat, odpłynie na zachód przez morze, ku zimnemu Zaświatowi. Tam, oddając ostatnie ciepło swego ciała, jego dusza otrzyma swą nagrodę: Obietnicę, że będzie już zawsze tak jak jest teraz, w tę krótką noc...**

**Nagle poraziło go wycie. Spod drzew, na otwarty teren wypadły cienie. A'i'ach dostrzegł, jak sąsiednią kulę przebiło drzewce włóczni. Trysnęła krew, z sykiem uszedł gaz: skurczone ciało opadło jak wyschnięty liść. Rzęski jeszcze drgały, gdy Bestia schwyciła je w locie, a jej kły rozdarły je na strzępy.**

**W ścisku i chaosie A'i'ach nie mógł wiedzieć, ilu jeszcze zginęło. Większość uchodziła jednak wznosząc się poza zasięg pocisków. Ci, którzy byli uzbrojeni, zaczęli zrzucać niesione przez siebie kamienie i gałęzie drzew ii. Jednak żadna z Bestii**



**zapewne nie zginęła od ich ciosów.**

**A'ich rozluźnił mięśnie w swym kulistym ciele i natychmiast wystrzelił w górę. Już bezpieczny, mógł dołączyć do reszty Roju, odlecieć, szukając miejsca na nowe święto. Ale zanadto ogarnęła go wściekłość i żal. Jakimś zakamarkiem swego umysłu zastanawiał się nad tym zjawiskiem: zazwyczaj Lud nie przejmował się zbytnio śmiercią jednej Osoby. To urządzenie, które miał na sobie, te jakoś wyszeptywane tajemnice...**

**I miał ze sobą nóż!**

**Brawurowo wytryskując gaz obrócił się i runął w dół.**

**Większość Bestii zniknęła w lesie, kilka jednak pozostało, pozerając ciała ofiar. A'ich krążył na wysokości bliskiej granicy rozsądku i szukał okazji. Ponieważ nie mógł opaść jak kamień, musiał udać atak na jednego osobnika, potem szybko rzucić się ku innemu, uderzyć, unieść się i zaatakować następnego.**

**Trącił go słaby promień światła dochodzący z głowy**

**Bestii, która wychynęła z cienia, stanęła i spojrzała do góry.**

**A'ich poczuł eksplozję woli. Oto był potwór, który na swój sposób związał się z ludźmi. Jeśli on sam w ten sposób zdobył swój nóż, cóż dostała tamta istota, co mogła dostać, by wyrządzić jeszcze gorszą szkodę. Zabicie jej powinno przynajmniej wstrząsnąć jej towarzyszami, sprawić, że się opamiętają**

w swych morderczych zapędach.

A'i'ach rzucił się do boju. Dookoła niego gwiazdliki

radośnie tańczyły i parzyły się.

\*\*\*

Jannika musiała szukać całą godzinę, nim złapała swój

kontakt. Ouranid nie mógł się zobowiązać, że w jakiejś chwili

znajdzie się w określonym miejscu. Jej osobnik po prostu ją

poinformował, gdy przymocowywała mu nadajnik do ciała, że

jego grupa znajduje się obecnie w okolicy góry MacDonald.

Poleciała więc tam i przeszukiwała okolicę w zapadającym

zmroku, zanim lampka wskaźnika nie zapaliła się na zielono.

Uzyskawszy połączenie, uniosła się na trzy kilometry i ustawiła

autopilota na powolne krążenie. Od czasu do czasu, gdy jej

obiekt przesuwiał się na północny wschód, przesuwiała środek

zataczanych przez siebie kręgów.

Poza tym skupiła się na wcieleniu się w swego ouranida.

Było to oczywiście niemożliwe, ale z tych prób dowiadywała się

więcej, niż uzyskiwała przez słowa. Odpowiedzi na faktyczne

pytania, których zadanie nie przyszłoby jej do głowy. Obyczaje

Ludu, wierzenia, muzyka, poezja, balet powietrzny - wszystko,

czego by nie rozpoznała obserwując z zewnątrz. A jeszcze

głębiej w jej wnętrzu - mniej wyraźne, ale potężniejsze - coś,

czego nie mogłaby wpisać do raportu naukowego: uczucie

rozkoszy, pożądania, wiatru, świetlistości, aromatu, chmur,

deszczu, niezmiernych odległości... poczucie wszystkiego, co  
składa się na bycie mieszkańcem niebios. Niecałkowite, nie,  
kilka przelotnych wejrzeń, trudnych do zapamiętania na  
później, ale przenoszących ją z jej ciała do nowego świata  
lśniącego cudami.

Rozkoszne

drzenie

podwoiło

się

jeszcze

przez

podniecenie A'i'acha. Jej wrażenia dotyczące jego doznań

nigdy jeszcze nie stały się tak silne i wyraziste. Płynęła na

strumieniach powietrza; zapach życia i pieśń posiadły ją, stała

się kroplą w oceanie pod potężnym Ruii i nie było już domu, za

którym trzeba było tak beznadziejnie tęsknić, bo dom

znajdował się wszędzie.

Rój dotarł w końcu do chmury świecących żuczków i

kosmos Janniki oszalał.

Przez chwilę, na wpół przerażona, zaczęła zdejmować

helm. Rozsądek powstrzymał jej dłoń. To, co się działo,

stanowiło jedynie skrajny wyraz tego, w czym już wcześniej

uczestniczyła. Ouranidzi rzadko przyjmowali znaczną ilość

pożywienia od razu; kiedy jednak tak się działo, wpływało to na

nich oszalamiająco. Odczuwała również ich podniecenie seksualne; męskość A'i'acha była zbyt nieziemską, by jej przeszkadzać w taki sposób, jak kiedyś żeńskość Erakoum zakłóciła spokój Hugh'a, gdy ta została zapłodniona, a potem odrzuciła swój ostatni członek. Dzisiejszej nocy rozkosz ouranidów sięgnęła zenitu.

Poddała się jej, przechodząc z jednego crescendo w drugie. Och, gdyby tu był z nią mężczyzna, ale nie, wtedy byłoby inaczej, zbezczeszczyłoby ten święty splendor, Obietnicę, Obietnicę!

A potem zjawily się Bestie. Rozpętała się groza. Gdzieś rozległ się dziwny głos wołający o pomstę za jej zniszczoną błogość.

\*\*\*

Krocząc nagim grzbietem pagórka Erakoum myślała, a puls jej stał się lekko przyspieszony, że dostrzegła w oddali płynący z góry słaby promień niebieskiego światła. Nie mogła mieć pewności z powodu blasku rzucanego przez Mardudeka, ale przepełniona nadzieją zmieniła kierunek biegu. Kiedy miała już za sobą długie przedzieranie się między głazami i cierniami, poświata zniknęła. Musiało być to jakieś nocne złudzenie, może odbicie światła księżyca od wznoszących się oparów. Ta konkluzja nie uspokoiła jej wcale. Latacze to jedno wielkie niepowodzenie!

**Przez to wszystko znalazła się z tyłu, za swoim stadem.**

**Pierwszym dla niej zwiastunem ataku były wycia towarzyszy.**

**„Hai-ai, hai-ai, hai-ai!” rozlegało się zewsząd i parsknęła, zaskoczona. Na pewno przybędzie zbyt późno, by dopaść swej ofiary. Niemniej jednak podążyła w tamtym kierunku. Jeśli Latacze nie trafią (W dobry wiatr, doścignie ich i podąży od jednego schronienia do drugiego, nie zauważona. Może nie polecą aż tak daleko, by nie starczyło jej już sił na pościg, dopóki nie trafią na nowe wyrojenie się ognistych pajęczków i znów się opuszczą W dół. Oddech szarpał jej gardziel, skok pagórka atakował stopy niewidocznymi kamykami, ale popęd pchał ją naprzód, aż dotarła na miejsce.**

**Była to polana, jasno oświetlona, choć poprzecinana**

**cieniami, w połowie przegrodzona niewielką rozpadliną.**

**Ogniste pajęczki krążyły na tle mroku lasu niczym chmura**

**światlistego pyłu. Kilka samic przycupnęło na murawie i**

**szarpało resztki swej ofiary. Reszta oddaliła się ściągając**

**Lataczy, tak samo jak zamierzała to Erakoum.**

**Zatrzymała się na skraju drzew, by odetchnąć, i zamarła.**

**Główna masa Lataczy powoli i chaotycznie przenosiła się na**

**zachód, ale kilku z nich pozostało, by zrzucić swą żalostną broń.**

**Z grzbietu najwyżej lecącego wydobywał się słaby promień**

**Światła. Oto znalazła swoją ofiarę.**

**- Ee-ha! -wykrzyknęła, skoczyła naprzód, potrząsnęła**

włócznie. - Chodźże tu, siewco zła, chodź i oddaj życie! Twoja krew da życie mojemu następnemu miotowi, to życie, które odebrałeś poprzedniemu!

Nie było to zaskoczenie, ale zrządzenie losu, kiedy niesamowity kształt zatoczył krąg i poleciał ku niej. Więcej rozstrzygnie się tej nocy niż to, które z nich przeżyje. Ona, Erakoum, przejęta Mocą, stała się narzędziem Proroka.

Skulona, cisnęła włócznie. Wysilek przeszedł przez jej wszystkie mięśnie. Zobaczyła, jak oszczep leci niczym zagłada, którą niesie ze sobą, ale jej wróg uchylił się; chybiła go o palec, a po chwili już spadał na nią jak pocisk.

Nigdy tego nie robiły! Cóż to błyszczało w jego podobnych do wodorostów odnóżach?

Erakoum chwyciła nową włóczę z znajdującej się na plecach wiązki. Każdy węzeł troków miał ustępować od jednego szarpnięcia, ale ten nie ustąpił, musiała pociągnąć jeszcze raz, a tymczasem wróg był coraz większy, coraz bliższy.

Poznała, co trzyma: nóż ludzkiej produkcji, ostry jak świeża klinga z obsydianu, ale cieńszy i mocniejszy. Odsunęła się.

Włócznia już wyplątała się z troków. Nie było miejsca na rzut.

Uderzyła.

Z szaleńczą radością dostrzegła, że ostrze trafiło w cel.

Latacz zrobił unik, nim włócznia przebiła jego ciało, ale krew zmieszana z gazem pokryła pianą głęboką ranę w jego boku.

**Runął naprzód i znalazł się w zasięgu jej ramion. Nóż uderzał raz za razem. Erakoum odczuła ciosy, ale jeszcze nie ból. Upuściła włócznię, uderzyła ramionami, zacisnęła szczęki. Zęby zwarły się na ciele wroga. Przez jej paszczę i w głąb gardzieli popłynęła fala siły.**

**I nagle ziemia umknęła jej spod tylnych nóg. Upadła na bok, usiłując uchwycić się ramionami i przednimi nogami, ale nie dała rady i przewróciła się. Kiedy uderzyła o krawędź rozpadliny, stoczyła się w dół po ostrych załamach. Przez moment widziała nad sobą niebo, gwiazdy i ogniste pajęczki, oświetlonego Mardudekiem Latacza, który płynął w powietrzu i broczył krwią. Potem pochłonęła ją nicość.**

**\*\*\***

**Ludzie z Port Kato zasypywali Jannikę Rezek i Hughę Brocketa pytaniami, co ich sprowadziło do domu tak wcześnie i w takim stanie psychicznym. Oboje unikali pytań i pośpieszyli do swej kwatery. W chwilę potem zasłonili okna. Przez jakiś czas patrzyli na siebie w milczeniu. Znajomy pokój nie dawał uspokojenia. Oświetlenie przystosowane do ludzkiego wzroku raziło teraz oczy, powietrze odcięte od lasu było bez życia, słabe odgłosy dochodzące z zewnątrz jeszcze pogłębiały ciszę panującą w środku. W końcu potrząsnął głową, nie widząc, i odwrócił się od żony.**

- Erakoum nie żyje - wymamrotał. - Czy kiedyś zdołam to pojąć?

- Jesteś pewien? - wyszeptala.

- Czulem... czulem, jak jej myśli się urywają... to tak, jakbym sam dostał w łeb... ale ty tak się troszczyłaś o swego cennego ouranida...

- A'i'ach jest ranny! Jego lud nie zna medycyny. Gdybyś tak nie szalał, że aż musiałam się zdecydować na pociągnięcie cię za sobą, zanim rozwalisz swój śmigacz...

Jannika urwała, przelknęła ślinę, rozwarła zaciśnięte pięści i zdołała wykrztusić.

- No, trudno, szkoda się stała i już. Zastanowimy się nad tym, co nam nie wyszło i jak zapobiec podobnej tragedii w przyszłości, czy nie?

- Taak, oczywiście. - Podeszedł do spizarki. - Napijesz się czegoś? - zawołał. Zawahała się.

- Wina.

Nalał jej pełen kieliszek. Jego prawa ręka ścisnęła szklanekę whisky, którą od razu zaczął pić.

- Czulem, jak Erakoum umiera - powiedział. Jannika usiadła na krześle.

- Tak... a ja czulałam, jak A'i'ach odnosi rany, które mogą okazać się śmiertelne. Usiądź, dobrze?

Zrobił to, ciężko, naprzeciwko niej. Ona piła małymi



lyczkami ze swojej szklanki, on wielkimi haustami ze swojej.

Nowo przybyli na Medeę zawsze twierdzili, że tutejsze wino i alkohol destylowany mają bardziej osobliwy smak niż żywność.

Jakiś poeta wykorzystał to w mrozącym krew w żyłach poemacie o izolacji. Kiedy utwór wysłano na Ziemię w biuletynie wiadomości, po stu latach nadeszła odpowiedź, że nikt na Ziemi nie ma pojęcia, co koloniści widzą w tym wierszydle.

Hugh zgarbił się.

- No, dobrze - burknął. - Powinniśmy porównać nasze obserwacje, zanim zaczniemy zapominać, i może powtórzymy je jutro, mając czas na przemyślenie. - Sięgnął do rejestratora i włączył go. Podając hasło identyfikacyjne, uczynił to głuchym tonem.

- Dla nas też tak będzie lepiej - zwróciła mu uwagę Jannika. - Praca, logiczne myślenie, to odepchnie od nas koszmar.

- Bo to był koszmar... No dobrze! - Odzyskał nieco ze swego wigoru. - Spróbujmy odtworzyć, co się stało.

- Ouranidzi wyruszyli, by łowić świecące żuczki, a dromidzi, by polować na ouranidów. My oboje byliśmy świadkami tej walki. Oczywiście, mieliśmy nadzieję, że do tego nie dojdzie - ty chyba modliłaś się o to, co? - ale wiedzieliśmy, że w wielu miejscach rozegrają się bitwy. To, co wstrząsnęło

**naszymi umysłami, to fakt, że to właśnie nasi tubylcy starli się w walce, podczas gdy my byliśmy z nimi w kontakcie psychicznym.**

**Jannika przygryzła wargi.**

**- Gorzej jeszcze - odrzekła. - Tych dwoje dążyło do tego starcia. Nie było to przypadkowe spotkanie, ale pojedynek.**

**Podniosła wzrok. - Ty nigdy nie mówiłeś Erakoum ani innemu dromidowi, że mamy również kontakty z ouranidami, prawda?**

**- Nie, oczywiście, że nie. Ty zresztą też nie wspominałaś twojemu ouranidowi o moim kontakcie. Oboje wiedzieliśmy dobrze, co oznaczałoby wprowadzenie takiej zmiennej do podobnego programu.**

**- Natomiast pozostali członkowie załogi mają na to zbyt ograniczone słownictwo, w obu językach. No, dobrze. Ale mówię ci, że A'i'ach wiedział. Nie domyślałam się tego, póki nie rozpoczęła się walka, I wtedy wydostało się to na wierzch moich myśli, krzyknęło do mnie, nie słowami, ale nie pozostawiając wątpliwości.**

**- Tak, to samo się wydarzyło między mną i Erakoum.**

**Mniej więcej.**

**- Przyznajmy więc to, czego nie chcemy przyznać, mój drogi. Nie tylko odbieraliśmy myśli od naszych tubylców, ale też je przekazywaliśmy. Sprzężenie zwrotne.**

**Potrząsnął bezsilnie pięścią.**

- Cóż, u diabła, mogło przekazać ten odwrotny

komunikat?

- Choćby wiązka radiowa, która łączy nas z naszymi

obiektami. Wzbudzona modulacja. Wiemy z przykładu larw

świecących robaczków - a zapewne wiadomo to i z wielu innych

przypadków, o których nigdy nie słyszeliśmy, bo jak można

wszystko wiedzieć o całej planecie - że organizmy medeańskie

potrafią być ogromnie radioczułe.

- Taak, weźmy choćby ogromną szybkość poruszania się

tutejszych zwierząt, kluczowe molekuly o wiele mniej trwale

niż odpowiednie związki u nas... Hej, zaraził Erakoum, i

A'i'ach poznali zaledwie odrobinę angielskiego, a już z pew-

nością nie mieli pojęcia o czeskim, w którym to języku myślisz,

jak sama utrzymujesz. Poza tym zastanów się, z jakim trudem

my w ogóle się do nich dostrajamy, pomimo wszystko, czego

się nauczyliśmy jeszcze na lądzie. Oni nie mają powodu, by

robić to samo, nie mają pojęcia o naukowej metodzie. Z

pewnością uznali, że to jakiś nasz kaprys, czar czy coś

podobnego, jest powodem, dla którego muszą nosić te

przedmioty.

Jannika wzruszyła ramionami.

- Być może, gdy jesteśmy w kontakcie, myślimy bardziej w

ich językach, niż zdajemy sobie z tego sprawę. A przecież oba

rodzaje Medeańczyków szybciej niż ludzie myślą, obserwują,

uczają się. W każdym razie, nie twierdzą, że ich kontakt z nami był tak samo dobry, jak nasz z nimi, choćby dlatego, że radio ma znacznie węższe pasmo. Sądzą, że to, co od nas odebrali, to doznania podprogowe.

- Chyba masz rację - westchnął Hugh. - Będziemy musieli włączyć w to elektroników i neurologów, ale mnie na pewno nie przyjdzie do głowy lepsze wyjaśnienie niż twoje.

Pochylił się. Siła, która teraz wibrowała w jego głosie, zamieniła się w lód:

- Ale spróbujmy zobaczyć to w kontekście; w ten sposób może odgadniemy, jakie informacje otrzymywali od nas tubylcy. Jeszcze raz rozważmy, dlaczego hansonscy dromidzi i ouranidzi walczą ze sobą. Głównie chodzi o to, że dromidzi wymierają i winę za to przypisują ouranidom. Może to nasza wina, Portu Kato?

- Ależ skąd - Jannika była zdumiona. - Przecież wiesz, jakie podejmujemy środki ostrożności.

Hugh uśmiechnął się smutno.

- Myślę o skażeniu psychicznym.

- Co takiego? Niemożliwe! Nigdzie indziej na Medei...

- Cicho bądź, dobrze? - krzyknął na nią. - Próbuję przypomnieć sobie to, co odebrałem od mojej przyjaciółki, którą zabił twój przyjaciel.

Na wpół uniosła się, z pobladłą twarzą, potem znów

**usiadła i czekała. Kieliszek z winem drżał w jej palcach.**

**- Zawsze wiele paplałaś o tym, jacy ci ouranidzi są dobrzy,  
łagodni i rozwinięci estetycznie - rzucił raczej w nią niż do niej.**

**- Zachłystywałaś się wprost tą ich nową wiarą - tym lotem z  
wiatrem na stronę odplanetarną, tą śmiercią z godnością,  
nirwaną, nie wiem już czym jeszcze. Niech diabli porwą tych  
brudnych plomidów. Umieją tylko rozniecać ogień i robić**

**narzędzia,**

**polować,**

**troszczyć**

**się**

**o**

**dzieci,**

**żyć**

**w**

**społecznościach, tworzyć sztukę i filozofię - tak samo jak**

**ludzie. Cóż cię w tym mogłoby zaciekawić?**

**No więc chcę ci powiedzieć, tak jak ci już tyle razy**

**mówiłem, że dromidzi też mają swoją wiarę. Gdybyśmy mieli**

**porównywać, założyłbym się, że ich wiara jest o wiele silniejsza**

**i bardziej znacząca niż wiara ouranidów. Próbują zrozumieć**

**świat. Czy nie możesz mieć dla nich choć trochę zrozumienia?**

**Jasne, dromidzi ogromnie szanują porządek rzeczy. Kiedy**

**coś się psuje - gdy Zdarza się wielka zbrodnia, grzech czy wstyd**

- cały świat doznaje krzywdy. Jeśli zło nie zostanie usunięte, wszystko się popsuje. W to właśnie wierzą na Hansonii i jestem przekonany, że poznali prawdę.

Wielkopańscy ouranidzi nigdy nie zwracali specjalnie uwagi na przyziemnych dromidów, ale nie odwrotnie.

Ouranidzi są tak samo widoczni jak Argo, Kolchida, dowolna część przyrody. W oczach dromidów mają swoje przeznaczone miejsce i cykl.

I nagle ouranidzi się zmieniają. Nie oddają swych ciał ziemi, gdy umierają, tak jak powinno kończyć się życie... nie, kierują się na zachód, ponad ocean, ku owemu nieznanemu miejscu, gdzie co wieczór skrywają się słońca. Czy nie rozumiesz, jak nienaturalnie mogło to wyglądać? To tak, jakby drzewo zaczęło chodzić lub nieboszczyk powstał z grobu. I nie był to pojedynczy wypadek, nie, powtarzał się rok po roku.

Aborty psychosomatyczne? Skąd mam wiedzieć? Wiem jednak, że dromidzi są wstrząśnięci do głębi tym, co robią ouranidzi. Choć jest to głupie, jednak sprawia im to ból.

Jannika skoczyła na równe nogi; jej kieliszek brzęknął o podłogę.

- Głupie? - krzyknęła. - Ich *Tao*, ich wizja? Nie, głupie jest to, w co wierzą te... twoje fuksy, tylko że przez tę wiarę napadają na niewinne istoty i zjadają je! Nie mogę się doczekać, kiedy te stwory wymrą całkowicie!

**On też powstał.**

**- Nie obchodzą cię martwo urodzone dzieci, nie,**

**oczywiście, że nie - odparł. - Bo jakież w tobie instynkt**

**macierzyński, do diabła? Tyle go, co u twoich balonów.**

**Swobodnie latać, rozsiewać nasiona, zapomnieć o nich, a one i**

**tak wykiełkują, pąk pęknie i Rój przyjmie nowych - i nikogo nic**

**nie obchodzi poza przyjemnością.**

**- Ach, ty... Może ty chciałbyś zostać matką? - zadrwiła.**

**Zamachnął się otwartą dłonią; ledwie uniknęła ciosu.**

**Wstrząśnięci, zamarli tam, gdzie stali.**

**Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł. Pociągnął łyk whisky**

**ze szklanki. Po chwili odezwała się ona, nieomal bezgłośnie:**

**- Hugh, nasi tubylcy odbierali od nas komunikaty. Nie**

**słowne. Nieświadome. Czy przez nich... - zająknęła się - my**

**chcieliśmy się nawzajem pozabijać?**

**Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, aż w końcu jednym**

**niezgrabnym gestem postawił swoją szklankę i wyciągnął do**

**niej ramiona.**

**- Och, nie, och, nie - wyjąkał. Zbliżyła się do niego.**

**Wkrótce poszli do łóżka. Ale nie był zdolny do niczego.**

**Znalazł w apteczce środek zaradczy, ale to, co po nim**

**nastąpiło, równie dobrze mogło rozgrywać się między dwiema**

**maszynami. W końcu Jannika odwróciła się, cicho płacząc, a**

**Hugh poszedł szukać butelki.**

Obudził ją wiatr. Leżała przez jakiś czas przysłuchując się jego dudnieniu o ściany. Sen oszedł ją całkowicie. Otworzyła oczy i spojrzała na zegarek; jego świecąca tarcza powiedziała jej, że minęły trzy godziny. Równie dobrze mogła wstać z łóżka. Może uda jej się poprawić nastrój Hugh'a.

Główny pokój był wciąż oświetlony. Hugh spał rozciągnięty w fotelu, obok którego stała butelka. Jakże głębokie były zmarszczki na jego twarzy.

Jak głośno świstał wiatr. Zapewne czoło burzy, które, jak zapowiadała służba meteorologiczna, miało znajdować się nad morzem, nagle i nieoczekiwanie skręciło w tym kierunku.

Meteorologia na Medei nie była jeszcze nauką ścisłą. Biedni ouranidzi; ich święto się nie udało, a oni sami, rozrzućeni po okolicy, byli w niebezpieczeństwie. Zazwyczaj potrafili latać nawet podczas huraganu, ale zawsze kilku spotykało nieszczęście -.uderzenie pioruna, ciśnienie o skały czy zaplątanie w gałęziach drzewa. Chorzy i ranni ucierpią najwięcej.

A'i'ach.

Jannika zacisnęła powieki i usiłowała sobie przypomnieć, jak ciężkie są jego rany. Ale wszystko było tak strasznie pomieszane; Hugh odwrócił jej uwagę i momentalnie znalazła się poza zasięgiem nadajnika. Poza tym A'i'ach i tak nie mógł być od razu pewien swego stanu. Może nie był poważny. Może i



był. On sam mógł już teraz być martwy albo skazany na śmierć, jeśli nie otrzyma pomocy.

Ona była za to odpowiedzialna - może nie winna, wedle moralistycznej definicji, ale odpowiedzialna.

Postanowienie umocniło się w niej. Jeśli pogoda nie przeszkodzi temu, poleci go szukać.

Sama? Tak. Hugh by protestował, opóźniał, może nawet zatrzymał ją siłą. Nagrała dla niego wiadomość, zastanowiła się, czy nie jest zbyt bezosobowa, ale zdecydowała się nie układać czegoś bardziej uczuciowego. Tak, chciała się pogodzić i myślała, że on też chce, ale płaszczyć się nie będzie. Znowu włożyła ubranie polowe, dodała do niego kurtkę wkładając do kieszeni kilka kostek koncentratu i wyszła.

Wiatr szalał wokół niej, huu-huu, niczym potop, przez który musiała się przedzierać. Chmury skupiły się ciężkie i niskie. Czerwone tam, gdzie kryła się za nimi Argo. Zdawało się, że olbrzymia planeta przelatuje pośród poszarpanych zasłon. Na podwórzu wznosiły się tumany kurzu siekąc ją po skórze. Poza nią na zewnątrz nie było nikogo.

W hangarze włączyła komputer, by podał jej ostatnią prognozę. Była zła, ale nie przerażająca, pomyślała. (A jeśli się rozbije, to co to za strata, dla niej czy kogokolwiek innego?)

- Wracam na pole badań - powiedziała do mechanika.

Próbował ją odwieść Od tego zamiaru, ale zażądała

**posłuszeństwa stosownie do swego statusu. Nigdy nie lubiła**

**tego, ale duchy starej ojczyzny nauczyły ją, jak się to robi.**

**- Żadnych sprzeciwów - rzekła. - Proszę przygotować się**

**do otwarcia hangaru i udzielenia mi pomocy, gdyby było**

**trzeba. To rozkaz.**

**Mały pojazd dygotał i uderzał w grunt. Start wymagał**

**dużej sprawności - miała trochę kłopotów, gdy podmuch**

**nieomal ją przewrócił - ale gdy znalazła się w powietrzu,**

**śmigacz uparcie sunął naprzód. Uniósłszy się ponad pokrywę**

**Chmur zobaczyła, jak faluje niczym morze, Argo zaś wystaje**

**jak daleki szczyt, a gwiazdy i inne księżyce błyskają nad głową.**

**Na północy gromadziła się jeszcze głębsza i wyższa ciemność -**

**czoło burzy. Pogoda naprawdę się pogorszy w ciągu**

**najbliższych paru godzin. Jeśli szybko nie wróci, to lepiej się w**

**ogóle nie wybierać.**

**Lot na pole bitwy zabrał niewiele czasu. Kiedy pilot**

**inercyjny dowiózł ją na miejsce, zatoczyła krąg, włożyła hełm**

**na głowę i włączyła nadajnik. Jej puls stał się nieregularny; w**

**ustach zaschło.**

**- A'ich - wyszeptała - bądź żywy, proszę cię, bądź żywy.**

**Zapaliło się zielone światełko; przynajmniej jego nadajnik**

**znajdował się na polanie. A on? Musiała siłą woli wprowadzić**

**się w stan kontaktu psychicznego.**

**Słabość, ból, szelest liści, hałas uderzających o siebie**

gałęzi...

- A'i'ach, wytrzymaj, ląduję!

Poryw radości. Tak, odebrał jej wezwanie.

Lądowanie na pewno będzie ryzykowne. Pojazd potrafił opuszczać się pionowo, miał znakomity radar i sonar, komputer i manipulatory, które samodzielnie przeprowadzały większość manewrów. Niemniej jednak nie było w dole zbyt wiele wolnego miejsca; polanę przedzielała na dwie części rozpadlina i choć otaczający las służył jako dość dobra zasłona od wiatru, jednak mogą się trafić złośliwe powiewy i zawirowania.

- Boże, zawierzam ci siebie - powiedziała i raz jeszcze, tak jak wiele razy poprzednio, pomyślała, jak ciężko Hughowi musi być z jego ateizmem.

Mimo to, jeśli odczeka jeszcze chwilę, straci całą odwagę.

W dół! Opadanie było gwałtowniejsze, niż się spodziewała.

Najpierw wpadła w kłębowisko chmur, potem już była pod nimi, ale w szponach wściekłego wichru, wreszcie ujrzała, jak sięgają po nią wierzchołki drzew. Pojazd kołysał się, nurkował, skręcał. Czyżby popełniła niewybaczalne głupstwo? Naprawdę nie chciała żegnać się z tym życiem...

Udało .się jej jednak i przez wiele minut siedziała bez sił.

Kiedy się poruszyła, czuła, jak całe jej ciało przenika ból minionego napięcia. Jednak cierpienie A'i'acha nie opuściło

**jej. Powodowana tą potrzebą odpięła pasy i ruszyła naprzód.**

**Potężny loskot targał otaczającą ją czarną palisadą drzew; gałęzie jęczały, korony burzyły się niczym piana. Jednak na dole, blisko gruntu, powietrze choć niespokojne, było jednak cichsze, niemal ciepłe. Niewidoczna Argo barwiła chmury, co dawało wystarczającą ilość światła, by nie musiała włączać latarki. Nie znalazła ani śladu zabitych ouranidów. No, przecież nie mieli kości, więc dromidzi zjedli każdy strzęp. Cóż za potworny przesąd... Gdzie jest A'i'ach?**

**Znalazła go po kilku minutach poszukiwań. Leżał za kolczastym krzewem, w który wplątał swe czułki, by się utrzymać na miejscu. Jego ciało wypuściło cały gaz i leżało jak pusty worek; oczy jednak błyszczały i był w stanie mówić owym przenikliwym, dmącym językiem swego ludu, który miał swoją melodię, jak Jannika się o tym przekonała.**

**- Niech radość tchnie na ciebie. Nie sądziłem, że nadejdiesz. Witaj, samotnie tu było.**

**Ostatnie słowa wypowiedziane zostały z dreszczem zgrozy. Ouranidzi nie znosili długiej rozłąki ze swoim Rojem. Niektórzy ksenolodzy sądzili, że ich świadomość jest bardziej zbiorowa niż osobnicza. Jannika odrzucała ten pogląd - chyba że odnosiło go do innych gatunków spotykanych w innych miejscach strony przyplanetarnej. ATach miał własną duszę!**

**Uklękała.**

**- Jak się czujesz?**

**Dzięki jego mowy wymawiała nie lepiej niż on jej, ale ATach nauczył się ją rozumieć.**

**- Czuję się już lepiej, skoro jesteś obok mnie. Utraciłem wiele krwi i gazu, ale rany się już zamknęły. Osłablszy, usiadłem na drzewie, dopóki Bestie nie odeszły. Tymczasem podniósł się wiatr. Pomyślałem, że w moim stanie lepiej nie lecieć wraz z nim. Nie mogłem jednak zostać na drzewie, bo i tak wiatr by mnie strącił. Wypuściłem więc resztę gazu i doczołgałem się do tego schronienia.**

**Jego słowa wyrażały o wiele więcej niż tylko to suche stwierdzenie. Denotacja była lakoniczna i spokojna; konotacja ani trochę. A'i'ach będzie potrzebował przynajmniej całego dnia, by zregenerować .dość wodoru na powtórny wzlot (dokładny termin zależał od tego, do jak wielkiej ilości pokarmu zdoła dotrzeć przy swych ranach), o ile jakiś drapieżca nie znajdzie go najpierw, co było zupełnie prawdopodobne. Janika wyobrażała sobie, jaki zalałby ją potop cierpienia, trwogi i męstwa, gdyby miała na sobie hełm. Wzięła na ręce sflaczałe ciało. Nie ważyło wiele. W dotyku było ciepłe i jedwabiste. A'i'ach pomagał jej w tym, jak potrafił, a mimo to część jego ciała ciągnęła się po ziemi, co na pewno było bardzo bolesne.**

**A musiała sprawić mu jeszcze większy ból, gdy będzie**

wciągać fałdy skórne do wnętrza śmigacza. W środku nie było wiele wolnego miejsca; A'i'ach został praktycznie wciśnięty w część ogonową. Jannika nie przeproszała go, gdy jęczał, ani w ogóle nic nie mówiła, ale śpiewała mu. Nie znał starożytnych słów ziemskiej pieśni, ale pojął, co chce mu w ten sposób przekazać.

W pojeździe znajdowało się wszystko, co potrzebne do podstawowej pomocy medycznej dla tubylców - już przedtem czasem jej udzielała. Rany A'i'acha nie były głębokie, w większości jego ciało było bowiem torebką ze skóry; torebka jednakże została rozdarta w kilku miejscach i choć rozdarcia same się zasklepiły, lot rozwarłby je na nowo, chyba że by je wzmocniono. Stosując miejscowe znieczulenie i antybiotyki - tyle już się nauczono o biochemii medeańskiej - Jannika zeszyła rozdarcia.

- No, teraz możesz odpocząć - powiedziała, kiedy już zakończyła pracę, zdrętwiała, spływająca potem i dygocząca. - Później wstrzyknę ci gaz i będziesz mógł od razu polecieć, jeśli zechcesz. Myślę jednak, że postąpimy najrozsądniej, gdy przeczekamy wicherę.

Człowiek na miejscu A'i'acha jęknąłby:

- Tu jest tak ciasno!

- Tak, rozumiem cię, ale... włożę hełm, A'i'achu. -

Pokazała ręką. - W ten sposób zjednoczymy nasze dusze, tak

jak łączyły się one poprzednio. To pomoże Wyrzucić tę niewygodę z twych myśli. A na tak niewielką odległość, przy nowo zdobytej wiedzy... - Przejął ją dreszcz. - Kto wie, czego będziemy się mogli dowiedzieć?

- Dobrze - zgodził się. - Możemy mieć niezwykle przeżycia.

- Pojęcie odkrywania dla własnej potrzeby było mu obce, ale jego poszukiwania rozkoszy daleko przekraczały praktyki hedonistyczne.

Ochoczo, mimo całego zmęczenia, wsunęła się na miejsce i sięgnęła po urządzenie, i w tym właśnie momencie rozległ się

brzęczyk

odbiornika,

cały

czas

włączonego

na

falę

standardową.

Na wschodzie Argo groźnie spoglądała na zbliżający się z północy, przetykany błyskawicami front burzy. Zgromadzone już w dole chmury mieniły się czerwienią i mrokiem. Wiatr zawodził. Pojazd Hugh'a to opadał w dół, to zrywał się w górę. Pomimo grzejnika przez daszek kabiny przenikało zimno, jak gdyby sprowadzone W światłem gwiazd i księżyców.

**- Jan, jesteś tam? - wołał. - Nic ci się nie stało?**

**Jej głos był jak przecinający więzy cios miecza. - Hugh? To ty, kochanie?**

**- No jasne, a kogo się, u diabła, spodziewałaś? Obudziłem się, odtworzyłem twoje nagranie i... Nic ci nie jest?**

**- Zupełnie nic. Ale nie mam odwagi wystartować w taką pogodę. A tobie nie wolno tu lądować, bo teraz jest to już zbyt niebezpieczne. Zostać w górze też nie możesz. Kochany, roztomily, że też przyleciałeś!**

**- Droga moja, jak mogłem, psiakrew, nie przylecieć?**

**Powiedz mi, co się stało. Wyjaśniła mu wszystko. Pod koniec opowieści skinął głową, która jeszcze trochę bolała od wypitego alkoholu, pomimo tabletki nedoloru.**

**- Dobrze - powiedział. - Poczekaj na spokojniejsze powietrze, napompuj swego przyjaciela i wracaj do domu. Przypomniało mu się coś, co go już od jakiegoś czasu nękało.**

**- Zaraz... zastanawiam się... Jak myślisz, może on by wleciał w tę rozpadlinę i odzyskał nadajnik Erakoum? Nie mamy ich zbyt wiele, wiesz o tym. - Zamilkł na chwilę. - Chyba żądałbym zbyt wiele, gdybym go poprosił, by jej ciało przykrył ziemią.**

**W głosie Janniki słyhać było współczucie.**

**- Ja mogę to zrobić.**



- Nie, nie możesz. Widziałem wszystko dokładnie oczyma Erakoum, gdy spadała, zanim nie rozbiła sobie czaszki, czy coś w tym rodzaju. Nikt nie zejdzie w dół bez liny zamocowanej na krawędzi. Nie mógłby potem wrócić! A nawet z liną ryzyko byłoby szalone. Przecież jej towarzysze nie próbowali nic robić, prawda?

Wahanie:

- Zapytam go. Może to zbyt wielkie wymaganie. Nadajnik jest nie uszkodzony?

- Hm, tak, ale to sprawdzę. Odezwę się za minutę lub trzy.

Kocham cię. To była prawda, wiedział o tym, pomimo tego, ile razy doprowadzała go do wściekłości. Żeby gdzieś tam, w otchłaniach jego osobowości, miał chcieć jej śmierci, to było nie do pomyślenia. Podążylby za nią jeszcze przez większą burzę niż ta, po to tylko, by to udowodnić.

No więc może wrócić do domu ze spokojnym sumieniem i czekać na jej przybycie, po czym... co? Ta niepewność otwierała w nim pustkę.

Jego aparatura zapaliła zielone światelko. Dobrze, aparat Erakoum nadawał, wobec tego był nie uszkodzony i wart odzyskania. Szkoda, że ona sama...

Sprężył się cały. Oddech zaterkotał mu w płucach. Czy wiedział na pewno, że ona nie żyje?

Opuścił hełm na skronie. Dłonie mu drżały; miał

trudności w dokonaniu połączeń. Nacisnął przełącznik. Siłą woli natężył percepcję...

Ból zwijał się jak rozpalone do białości druty, siła uchodziła, łagodne fale nicości przepływały coraz częściej, ale Erakoum nadal się nie poddawała. Ten wąski pasek nieba, który dostrzegła z miejsca, z którego nie mogła już poczuć się dalej, był pełen wiatru... Z wstrząsem powróciła pełna świadomość. Ponownie wyczuła obecność Hugh'a.

- Połamane kości, na to wygląda. Poważna utrata krwi.

Umrze za kilka godzin, Jan, jeśli nie udzielisz jej pierwszej pomocy. Wtedy dotrwa do chwili, gdy będziemy mogli przewieźć ją do Port Kato na pełny zabieg.

- Och, mogę zszyć rany, zabandażować, złożyć kości, cokolwiek. Nedolor jest również środkiem znieczulającym dla dromidów, prawda? I nawet napicie się wody może mieć kolosalne znaczenie; na pewno jest odwodniona. Ale jak do niej dotrzeć?

- Twój ouranid może ją podnieść, gdy go nadmuchasz.

- Chyba nie mówisz poważnie! ATach jest ranny, goją mu się rany... A Erakoum chciała go zabić!

- Dążenie było wzajemne, prawda?

- No...

- Jan, nie zostawię jej tak. Ona, która biegła swobodnie, leży w grobie, a ta styczność ze mną, którą odbiera, to dla niej

więcej, niż byłem w stanie sobie wyobrazić. Zostanę tu, dopóki

nie będzie bezpieczna albo dopóki nie umrze.

- Nie, Hugh, nie możesz. Burza.

- Nie chcę cię szantażować, kochanie. Mówiąc szczerze, jeśli twój ouranid odmówi, nie będę miał do niego żalu. Ale nie mogę zostawić Erakoum. Po prostu nie mogę.

- Ja... poznałam cię teraz lepiej... Spróbuję.

\*\*\*

A'ï'ach nie zrozumiał swej Janniki. Było nie do uwierzenia, że pomoc Udzielona Bestii przyniesie pokój. Ten stwór był tym, czym był, czyli mordercą. A jednak kiedyś Bestie nie były źródłem kłopotów, kiedyś były to zwierzęta, które najbardziej interesowały i cieszyły Lud. On sam pamiętał pieśni o ich chyżości i ich ogniu. W tamtych utraconych dniach Bestie nazywano Tancerzami Płomienia.

Jego duch nie miał pewności, dlaczego ustąpił wobec jej próśb. Prawdopodobnie dlatego, że uratowała mu życie, narażając własne, co było dla niego przemożną, nową myślą. Wielce chciał utrzymać z nią swą jedność, która wzbogacała jego świat, i dlatego wahał się z odmówieniem prośbie, która zdawała się tak ważna, jak jego chęć. Przez tę jedność, przekazaną mu hełmem, zdawało mu się, że czuje to samo, co ona, gdy woda płynęła jej z oczu - ... chcę naprawić to, co wyrządziłam... - i takie uczucie stało się transcendentne,

niczym Czas Blasku, i to właśnie sprawiło, że przystał na jej prośbę.

Pomogła mu wydostać się z rzeczy-która-ją-przywiozła i wysunęła rurkę. Przez nią pił gaz, powiew nowego życia. Rany mu dokuczały, gdy jego kuliste ciało powiększało się, ale mógł to zignorować.

Potrzebował jej ciężaru, który by utrzymywał go przy ziemi w drodze do rozpadliny. Palce i czułki splotły się razem, a mimo to wichura o mało ich nie poniosła. Gdyby napelnił się do całkowitych rozmiarów, łatwo mógłby z nią ulecieć.

Powietrze atakowało i wyło, rzucało nim, chciało cisnąć w ciernie... jakże strasznie było na ziemi!

A jeszcze gorzej opuszczać się poniżej jej powierzchni.

Drżał, przepelniony uczuciem, które ledwie rozpoznawał.

Gdyby Jannika była z nim w kontakcie, powiedziała mu, że ludzie nazywają to uczucie przerażeniem. Człowiek albo dromid, opanowany przez nie w takim stopniu, uciekłby od tego miejsca. A'i'ach zaś przemienił je w moc pchającą go naprzód, bo przez nie on też stawał się kimś zupełnie innym.

Na brzegu otoczyła go ramionami tak daleko, jak tylko mogła sięgnąć, przyłożyła usta do jego sierści i rzekła:

- Życzę ci powodzenia, drogi A'i'achu, drogi, dzielny

A'i'achu. Powodzenia i niech cię Bóg zachowa. - Te słowa

wypowiedziała we własnym języku; gestu też nie rozpoznał.

**Dała mu do trzymania cylinder, który rzucał silny strumień światła. Zobaczył, jak poszarpane zbocze opada w dół, i pomyślał, że jeśli zostanie o niego rzucony, to już po nim. Wówczas jego duch, nie chroniony ciałem, odbędzie straszliwą podróż, zanim osiągnie Zaświat - o ile w ogóle go osiągnie, a nie ulegnie rozerwaniu (porozrzucaniu po świecie. Szybko, nim zdołały go porwać zmałowane wiatry, rzucił się. w dół ponad krawędzią. Zmniejszył swą objętość. Zaczął opadać.**

**Trwoga, w miarę jak zamykały się wokół niego ściany i mrok, była rozkoszą, jakiej dotąd nie zaznał. W sercu czuł płonąca świadomość. O, tak, człowiek pokazał mu nie znane dotąd nieba.**

**W woni wilgoci wykrył jeszcze ostrzejszy zapach. Podążył w tym kierunku. Światło jego latarki omiotło Bestię rozciągniętą na ostrym osypisku, dyszącą ciężko i wściekle patrzącą na niego. Za pomocą odrzutu i syfonowania ustawił się poza jej zasięgiem i wypowiedział, tak jak umiał, słowa w języku ludzi:**

**- Sszylesszalem sze uratofffasz**

**\*\*\***

**Z głęбини swego miejsca śmierci Erakoum spojrzała w górę na Latacza. Ledwie widziała jego zarysy: wielki, blady księżyc skryty za jasnym światłem. Zdumienie otrząsnęło ją z senności. Czyżby jej wróg podążył za nią aż tu, na dół, w swej**

**złośliwości?**

**Dobrze! Umrze w boju, a nie w bólach, które ją  
rozdzierały.**

**- Chodź tu i walcz! - krzyknęła chrapliwie. Gdyby mogła  
zatopić w nim zęby, wypić ostatni haust jego krwi...**

**Wspomnienie tamtego smaku przeszło ją niczym słodka  
błyskawica. Przez te późniejsze chwile, które nie chciały się  
skończyć, cały czas myślała, że gdyby nie wypila tamtych kropli  
krwi, już by nie żyła.**

**Ich cudowne działanie już zanikło. Poruszyła się,  
przybierając postawę obronną. Przeszył ją ból, a potem nicość.**

**Kiedy się ocknęła, Latacz wciąż czekał. Poprzez dudnienie  
w jej uszach przedzierały się jego słowa: „Sszylesszalem sze  
uratoffasz”.**

**Ludzka mowa? Więc to była ta istota, którą ludzie  
obdarzyli przychylnością, podobnie jak ją. Musiała to być ona,  
choć promień padający z jej głowy został przyćmiony światłem  
z jej macek. Czyżby Hugh przez cały czas był związany z nimi  
obojgiem?**

**Erakoum**

**próbowała**

**utworzyć**

**sylaby**

**nigdy**

**nie**

**przeznaczone dla jej języka i gardła.**

**- Dzo gdzież? Idź zdąd, idź.**

**Latacz odpowiedział. Nie potrafiła go zrozumieć, tak samo jak on nie rozumiał tego, co mówiła ona. Z pewnością przyleciał tu w dół, by się upewnić, że to ona, albo żeby naigrawać się z niej, dopóki nie umrze. Erakoum wyciągnęła słabnące ramię po włócznie. Nie mogła już jej rzucić, ale...**

**Z nieświadomości, gdzie mieszkała dusza Hugh'a, doszła nagle do niej informacja: On chce cię uratować.**

**Niemożliwe. Ale... był to przecież Latacz. Na wpół w malignie, Erakoum pamiętała jednak, że Latacze rzadko kiedy potrafiły być tak cierpliwe.**

**Cóż gorszego mogło ją spotkać od śmierci? Nic. Legła grzbietem na odłamkach skalnych. Niech Latacz będzie jej zgubą lub jej Mardudekiem. Znalazła w sobie odwagę, by zaniechać walki.**

**Kształt zawisł nad nią. Jej sierść odebrała niewielkie zawirowania; pomyślała mgliście, że jemu też w tym miejscu nie jest łatwo. Buchnęły z niego słowa; chciał coś wyjaśnić, ale była zbyt cierpiąca i zmęczona, by słuchać. Otoczyła swój pysk rękami. Czy zrozumie ten gest?**

**Może. Zbliżył się, z wahaniem. Trwała w nieruchomości.**

**Nawet kiedy poczuła jego macki, nie poruszyła się.**

Macki prześliznęły się po jej ciele, znalazły zaczepienie,  
zacisnęły się. Poprzez mgłę bólu dojrzała, jak Latacz wypełnia  
się gazem. Chciał unieść ją w górę - do Hugh'a?

Gdy wleciał w górę, jej rany od noża otworzyły się i  
krzyknęła, zanim straciła przytomność.

Kiedy się ocknęła, leżała na darni, pod porywistym,  
czerwonym niebem. Pochylał się nad nią człowiek, mówiąc coś  
do małego pudełka, które odpowiadało głosem Hugh'a. Za nią  
leżał Latacz, wypuściwszy powietrze, trzymając się krzewu.

Burza szalała; spadły pierwsze kłuszące krople deszczu.

W tajemny sposób, właściwy łowcom, wiedziała, że  
umiera. Człowiek mógłby zasklepić te cięcia i ułucia, ale nie  
potrafi oddać tego, co zostało utracone.

Wspomnienie... to, o czym mawiano, to, czego sama  
przelotnie posmakowała... „Krew Latacza. Ona mnie uratuje.

Krew Latacza, jeśli mi ją da". Nie była pewna, czy powiedziała  
to na głos, czy jej się tak wydawało. Znowu zapadła w mrok.

Kiedy się z niego jeszcze raz wynurzyła, Latacz znajdował  
się obok niej, zasłaniając jej ciało przed wiatrem. Człowiek  
ostrożnie nacinał nożem jedną z jego macek. Latacz wsunął  
mackę między kły Erakoum. Gdy deszcz rozszalał się na dobre,  
zaczęła pić.

\*\*\*

Podwójny wschód słońca zawsze jest uroczy.



**Jannika celowo opóźniła wieści dla Hugh'a. Chciała mu zrobić niespodziankę, najlepiej kiedy przestanie martwić się o swego dromida. A więc pora już nadeszła; Erakoum zostanie przez parę dni w szpitalu w Port Kato, co powinno być interesującym doświadczeniem dla wszystkich zainteresowanych, ale wyzdrowieje. A'i'ach już dołączył do swego Roju.**

**Kiedy Hugh obudził się ze swego długiego snu po czuwaniu u „łóża chorej”, Jannika zaproponowała piknik o świcie i ujęło ją to, jak szybko się zgodził. Pojechali śmigaczem w znane im miejsce na nadmorskich skałach, rozłożyli jedzenie i zaczęli wyglądać wschodu słońca.**

**Zrazu jedynymi światłami była Argo, gwiazdy i para księżyców. Powoli niebo rozjaśniło się, ocean zaśnił srebrem na błękitach, Fryksos i Helle zakrążyły wokół wielkiej planety.**

**Pieśni natury rozległy się w powietrzu przesiąkniętym aromatem kwiatu plamkowca, podobnym do fiołków.**

**- Dostałam wiadomość z Ośrodka - oświadczyła, trzymając go za rękę. - To już pewne. Szybko rozwiązano sprawy chemiczne, po tej dodatkowej wskazówce o ożywiającym wpływie krwi.**

**Obrócił się.**

**- Co takiego?**

**- Niedostatek manganu - odparła. - Pierwiastek śladowy w**

**biologii medeańskiej, ale ważny dla życia, szczególnie**

**dromidów i ich rozrodczości... i najwyraźniej dla czegoś innego**

**u ouranidów, skoro gromadzą go w takim stopniu. Okazuje się,**

**że brakuje go na Hansonii. Ouranidzi, udający się na zachód,**

**by tam umrzeć, znacznie zmniejszyli jego zawartość w ekologii.**

**Rozwiązanie jest proste. Nie potrzebujemy zmieniać wiary**

**ouranidów. Tymczasem możemy przygotować koncentrat**

**manganowy i dać go dromidom. Na dłuższą metę zaś można**

**wydobywać rudę manganu tam, gdzie jest jej dużo, i**

**rozproszyc w postaci pyłu po całej wyspie. Twoi przyjaciele**

**będą żyli, Hugh.**

**Milczał przez jakiś czas. Potem... mógł ją tym zaskoczyć,**

**ów syn górnika z prowincji, powiedział:**

**- To wspaniale. Rozwiązanie techniczne. Ale gorycz nie**

**zniknie w ciągu jednego dnia. Nie będzie szybkiego happy**

**endu. Może w ogóle go nie zobaczymy, ty i ja. - Przyciągnął ją**

**do siebie. - Ale, cholera jasna, spróbujmy!**

**Pod postacią ciała**

**(The Sharing of Flesh)**

**Moru wiedział, co to broń. W każdym razie rośli**

**przybysze wielokrotnie demonstrowali swoim przewodnikom,**

**czego też owe przedmioty noszone przez nich u pasa potrafią**

**dokonać przy akompaniamencie błysku i wybuchu płomieni.**

**Nie zdawał sobie jednak sprawy, iż maleńkie aparaty**

**pojawiące się w dłoniach przybyszów, gdy mówili własnym**

**językiem, to nadajniki. Zapewne myślał, że są to fetysze.**

**Stąd też, gdy Moru zabił Doniego Sairna, stało się to na**

**oczach żony Doniego.**

**Był to przypadek. Z wyjątkiem umówionych okresów**

**nadawania rano i wieczorem dwudziestoósmiogodzinnego**

**dnia planety biolog Sairn, podobnie jak jego towarzysze, łączył**

**się tylko ze swym komputerem. Ponieważ jednak ożenił się**

**niedawno i młoda para była beznadziejnie szczęśliwa, Evalyth**

**nastawiała odbiornik na falę męża, kiedy tylko mogła oderwać**

**się od własnych zajęć.**

**I nie był to jakiś wyjątkowy zbieg okoliczności, że w**

**krytycznym momencie również go „podsluchiwała”: własne**

**obowiązki nie absorbowały jej zanadto. Jako militech wyprawy**

**- a funkcję tę powierzono jej, ponieważ pochodziła z na wpół**

**barbarzyńskich**

**regionów**

**planety**

**Kraken,**

**gdzie**

**przedstawiciele obu płci mają równe szansę wyuczenia się**

sztuk wojennych przydatnych w prymitywnych środowiskach - nadzorowała budowę osiedla, potem zaś zorganizowała rygorystycznie przestrzegany system wart. Jednakże mieszkańcy Lokonu byli tak przyjaźnie nastawieni do przybyszów, jak im na to pozwalała sytuacja, w której każda ze stron niewiele wiedziała o drugiej. Instynkt i doświadczenie podpowiadały Evalyth, że rezerwa Lokończyków maskuje jedynie ich przestach, podziw, a może i tęskne nadzieje na przyjaźń.

Kapitan Jonafer zgadzał się z tą opinią. Skoro więc stanowisko Evalyth okazało się w ten sposób ciepłą posadką, starała się dowiedzieć jak najwięcej o pracy Doniego, by mu pomagać, kiedy wróci z nizin.

Poza tym niedawne badanie lekarskie potwierdziło, że jest w ciąży. Nie powie mu o tym, zdecydowała, jeszcze nie, przez te setki kilometrów, tylko dopiero wtedy, gdy będą znów razem. Tymczasem zaś świadomość, że razem poczęli nowe życie, sprawiła, iż Donli stał się dla niej gwiazdą przewodnią.

W to popołudnie, gdy miał zginąć jej mąż, weszła do laboratorium biologicznego pogwizdując. Na zewnątrz ostre światło słoneczne rzucało złotawe błyski, odbijając się od pylistego gruntu, od ścian prefabrykatowych budynków skupionych wokół lądowiska

wahadłowca,

który

przetransportował ludzi i sprzęt z orbity, po której krążył *Nowy Świt*, od stojących śmigaczy i grawisani używanych do celów komunikacyjnych na wyspie - jedynej nadającej się do zamieszkania części tej planety - a także od mężczyzn i kobiet.

Za palisadą zaś wierzchołki drzew owocowych, prześwitujące ściany lepianek, szmer głosów i szelest kroków, gorzki zapach palonego drewna - wszystko to zdradzało, że między bazą i jeziorem Zelo rozciągało się kilkutysięczne miasto

Laboratorium biologiczne zajmowało więcej niż połowę baraku, w którym mieszkali Sairnowie. Na wygody nie można było liczyć w sytuacji, gdy planety należące ongiś do imperium galaktycznego odwiedzały jedynie statki nielicznych ras walczących o powrót do cywilizacji. Evelyth jednak wystarczało, że był to ich własny dom. Gdy spotkała Doniego na Krakenie, ujął ją przede wszystkim tą wesołością, z jaką on, człowiek z Athei, o której powiadano, że zachowała lub odzyskała prawie wszystkie udogodnienia, jakimi w czasach świetności dysponowała Stara Ziemia, przystał na życie w jej ubogiej, smutnej ojczyźnie.

Siła ciężenia wynosiła tu 0,77 G, mniej niż dwie trzecie tego, do czego nawykła. Łatwo przeciskała się wśród kłębowiska aparatury i pojemników z okazami. Evelyth była

przystojną, dobrze zbudowaną młodą kobietą, może o zbyt  
mocnej sylwetce jak na gusta większości mężczyzn spoza  
własnej rasy. Tak jak jej rodacy miała jasne włosy, a nogi i  
przedramiona pokryte zawiłym tatuażem; tak jak oni nosiła u  
pasa miotacz służący wielu już pokoleniom wojowników.

Jednak poza tym odrzuciła tradycyjny strój Krakeńczyków na  
rzecz prostych kombinezonów stanowiących odzież członków  
wyprawy.

Jakże przyjemnie chłodne i ciemne było wewnątrz baraku!

Westchnęła z rozkoszą, usiadła i włączyła odbiornik. Serce jej  
lekko drgnęło, gdy zaczął się formować trójwymiarowy obraz i  
rozległ się głos Doniego:

- ... wydaje się, że to potomek koniczyny.

W powietrzu widniał obraz rośliny z potrójnymi

zielonymi

liśćmi,

gęsto

rozsianej

wśród

miejscowej

czerwonawej pseudotrawy. Obraz powiększał się, w miarę jak

Donli zbliżał nadajnik, aby komputer mógł zanotować

wszystkie szczegóły do późniejszej analizy. Evalyth zmarszczyła

czoło starając się przypomnieć sobie, co... A, tak. Koniczyna to

kolejna forma życia, którą, zanim zapadła Długa Noc, człowiek przeniósł ze Starej Ziemi na więcej planet, niż ktokolwiek obecnie pamiętał. Często Owe formy życia zmieniały się nie do poznania; przez tysiące lat ewolucja przystosowała je do obcych warunków albo też mutacje i znos genetyczny zadziaływały nieomal losowo na niewielkie populacje wstępne. Nikt na Krakenie nie wiedział, że tamtejsze sosny, mewy i rizobakterie to zmutowani przybysze, dopóki na planetę nie przybyła ekspedycja Doniego i ich nie zidentyfikowała. Nie oznaczało to, że oraczy ktokolwiek z tej części galaktyki zdołał już dotrzeć z powrotem do Starej Ziemi. Ale banki danych na Athei wyladowane były informacjami, podobnie jak kochana kędzierzawa głowa Doniego...

W polu widzenia pojawiła się jego olbrzymia dłoń, zbierająca okazy. Evalyth poczuła nagle ochotę, by ją pocałować. Cierpliwości, cierpliwości, napominała młodą żonę służbista część jej osobowości. Mamy tu pracować. Odkryliśmy kolejną zaginioną kolonię, jak dotąd w najgorszym stanie, cofniętą do skrajnego prymitywizmu. Do nas należy doradzenie Komisji, czy warto tu wysłać misję cywilizacyjną, czy też szczupłe zasoby Zjednoczonych Planet przerzucić gdzie indziej, a tutejszych mieszkańców pozostawić w nędzy jeszcze przez dwieście, trzysta lat. Aby sporządzić uczciwy raport, musimy się im przyjrzeć, ich kulturze, ich planecie. Dlatego

siedzę tu na barbarzyńskim pogórzu, a on wyruszył do dżungli, w której roi się od gotowych na wszystko dzikusów. Błagam cię, kochanie, kończ szybko i wracaj.

Usłyszała słowa Doniego wypowiedane w dialekcie nizinnym, który był zwyrodniałą postacią języka lokońskiego wywodzącego się z kolei od angijskiego. Należący do ekspedycji językoznawcy pracowali intensywnie przez kilka tygodni, by go rozwikłać, po czym cała załoga została poddana szkoleniu domózgowemu. Niemniej jednak Evalyth z podziwem obserwowała, jak szybko jej mąż opanował odmianę, którą posługiwali się leśni biegacze - zaledwie po kilku dniach rozmów z nimi.

—Czyż nie zbliżamy się do właściwego miejsca, Moru?

Mówileś,

że

to

jest

w pobliżu naszego obozu.

—Jesteśmy prawie na miejscu, przybyszu z chmur.

W głowie Evalyth zadźwięczał cichy sygnał alarmowy. O co tu chodziło? Chyba Donli nie wybrał się sam na przechadzkę z jednym z krajowców? Lokończyk Rogar ostrzegł przed zdradziecką naturą tubylców zamieszkujących tamte tereny.

Ale, prawdę mówiąc, nie dalej jak wczoraj przewodnicy,



ryzykując życie, uratowali Haimiego Fiella, gdy ten wpadł do szybko płynącej rzeki...

Obraz zakolysał się, gdy Donli poruszył dłonią, w której trzymał komunikator. Evalyth poczuła lekki zawrót głowy. Od czasu do czasu w polu widzenia pojawiał się szerszy widok: drzewa stłoczone wśród łowieckiego szlaku, rdzawe listowie, brunatne pnie i gałęzie, czające się za nimi cienie, sporadyczne okrzyki jakichś niewidocznych zwierząt. Nieomal czuła gorącą i ciężką od wilgoci atmosferę, nieprzyjemny odór dżungli. Ta planeta - która zatraciła swą nazwę pozostając jedynie Światem, jej mieszkańcy bowiem zdążyli już zapomnieć, czym w rzeczywistości są gwiazdy - nie za bardzo nadawała się do kolonizacji. Zrodzone na niej organizmy często były szkodliwe dla człowieka, a zawsze zawierały zbyt mało składników dlań odżywczych. Z pomocą przywiezionych przez siebie roślin i zwierząt człowiekowi udało się tu przetrwać, choć z trudnością. Pierwsi osadnicy bez wątpienia zamierzali poprawić ten układ; nadszedł jednak kryzys - znaleziono liczne dowody na to, że osada została pociskami zrównana z ziemią, a większość jej mieszkańców zginęła - do odbudowy zaś zabrakło środków; cud prawdziwy, że w ogóle pozostali tu przy życiu jacyś ludzie.

- Tutaj, przybyszu z chmur.

Rozchwiany obraz uspokoił się. Szum ciszy nadajnik

przekazywał z dżungli do kabiny.

— Nic nie wiążę - powiedział w końcu Donli.

Chodź za mną. Pokażę

Donli umieścił nadajnik w rozwidleniu drzewa. Obraz

przedstawiał jego i Moru idących przez łąkę. Przewodnik

wyglądał jak dziecko u boku kosmicznego podróżnika: sięgał

mu ledwie do ramienia. To „dziecko” miało wszakże już wiele

za tobą; ciało Moru pokryte było bliznami, a jakaś dawna rana

sprawiała, że utykał na prawą nogę. Twarz kryła się pod grzywą

włosów i krzaczastym zarostem. Moru, który nie mógł

polować, i by utrzymać rodzinę, zastawiał jedynie pułapki i

łowił ryby, żył w jeszcze większej nędzy niż jego

współplemieńcy. Z pewnością uznał, że szczęście się doń

uśmiechnęło, gdy w pobliżu wioski wylądował śmigacz, a ci,

którzy nim przylecieli, zaoferowali Moru niesłychane bogactwa

za to, by przez tydzień czy dwa oprowadzał ich po okolicy.

Donli pokazywał już Ewalyth słomianą chatę Moru: nędzny

dobytek, kobietę zniszczoną ciężką pracą, pozostałych przy

życiu synów, którzy w wieku siedmiu czy ośmiu lat

miejscowych,

czyli

dwunastu-trzynastu

standardowych,

wyglądali jak zaszuszone karły.

Rogar był zdania - na ile można było sądzić, nikt bowiem dotąd nie opanował języka lokońskiego w stopniu doskonałym - że mieszkańcy nizin nie byłiby tacy ubodzy, gdyby mniej w nich było okrucieństwa znajdującego wyraz w nieustannych walkach plemiennych. Evalyth pomyślała jednak, że w końcu jakież mogą oni stanowić zagrożenie?

Rynsztunek Moru składał się z przepaski na biodrach, z opasującego całe ciało sznura służącego do przygotowywania potrzasków, obsydianowego noża i worka z tkaniny, tak jednak gęstej i przetłuszczonej, że w razie potrzeby mógł służyć ta buklak. Innym mężczyznom z jego gromady, mogącym brać udział w łowach i uczestniczyć w podziale łupów po walce, powodziło się wyraźnie lepiej. Wyglądem jednak nie różnili się zbyt od Moru; ludność wyspy, nie mając dość miejsca do ekspansji, przeżywała wyraźny kryzys genetyczny.

Skarłały mężczyzna pochylił się rozsuwając dłońmi gałęzie krzewu.

- Tutaj - mruknął i ponownie się wyprostował.

Evalyth dobrze znała żądzę wiedzy gorejącą w sercu Doniego. A jednak jej mąż obrócił się, uśmiechnął prosto do obiektywu nadajnika i odezwał się w języku athejańskim:

- Kochanie, jeśli teraz odbierasz, chciałbym się tym podzielić z tobą. Może to gniazdo ptaka.

Przypomniała sobie dość niejasno, że fakt istnienia

ptaków mógłby być ekologicznie ważną informacją. Ale w tej chwili liczyło się dla niej tylko to, co Donli do niej powiedział.

„O, tak, o, tak!” - chciała wykrzyknąć. Ale w tamtej ekipie były tylko dwa Odbiorniki i jej mąż nie miał ze sobą żadnego z nich.

Widziała, jak klęka w wysokiej roślinności o dziwnym zabarwieniu. Widziała, jak sięga z tą swoją łagodnością, której już miała okazję doświadczać, do wnętrza krzaka i rozsuwa jego gałązki.

Widziała, jak Moru skoczył mu na kark. Dzikus opasał Doniego nogami. Lewą ręką chwycił go za włosy i zadarł mu głowę go góry. W prawej pojawił się nóż.

Krew buchnęła gdzieś spod szczęki Doniego. Nie mógł krzyknąć - nikt by nie mógł z poderżniętym gardłem. Bulgotał tylko i skrzeczał, a Moru wciąż poszerzał cięcie. Donli na oślep sięgnął po broń. Moru upuścił nóż i schwycił go za ramiona; obaj upadli spleceni w uścisku. Donli rzucał się i tarzał w kałużach własnej krwi. Moru nie zwalniał uchwytu. Krzew poruszył się i skrył obu, aż w końcu Moru wstał, cały czerwony od krwi, ociekający krwią, dyszący, a Evalyth zaczęła krzyczeć do znajdującego się obok niej nadajnika, na cały wszechświat, i wciąż jeszcze krzyczała i wyrywała się, gdy chcieli ją odciągnąć od widoku łąki, na której Moru kroił ciało Doniego, aż wreszcie coś ją ukłuło chłodem i stoczyła się na dno

**wszechświata, w którym wszystkie gwiazdy zgasły na zawsze.**

**— Nie, oczywiście, że nic nie wiedzieliśmy - wycedził**

**Haimie**

**Fiell**

**przez**

**zaciśnięte zęby - dopóki nas nie ostrzeżliście. Donli i tamten**

**stwór**

**oddalili**

**się**

**o wiele kilometrów od naszego obozu. Dlaczego nie**

**kazaliście**

**nam**

**ruszyć**

**natychmiast na pomoc?**

**— Ze względu na to, co pokazywał komunikator - odrzekł**

**kapitan**

**Jonafer.**

**-**

**Sairna nie można już było uratować. A wy mogliście wpaść w**

**zasadzkę,**

**mogli**

**was**

**z tyłu zaatakować strzałami i spychać coraz głębiej po tych**

**wąskich**

ścieżkach.

Najlepiej było zostać na miejscu i czekać na pojazd pilnując jeden drugiego.

Fiell spojrział gdzieś poza postać kapitana, potężnego, siwowłosego mężczyzny; wzrokiem powędrował za drzwi baraku dowództwa, ku palisadzie i widokowi bezlitosnego nocnego nieba.

—Ale co ten mały potwór robił, kiedy... - zamilkł nagle.

—Pozostali przewodnicy uciekli - równie pośpiesznie

wtrącił

Jonafer

-

gdy

tylko wyczuli wasz gniew. Sam pan tak mówił. Otrzymałem

właśnie

raport

od

Kallamana; jego zespół poleciał śmigaczem do wioski.

Mieszkańcy

uciekli.

Cała

wieś jest opuszczona; z pewnością obawiają się naszej zemsty.

Choć w ich przypadku przeprowadzka to nic wielkiego: cały

dobytek

**bierze**

**się**

**na**

**plecy,**

**a**

**nowy**

**dom można upleść przez jeden dzień.**

**Evalyth pochyliła się do przodu.**

**- Przestańcie unikać szczerych odpowiedzi - powiedziała. -**

**Co**

**takiego**

**Moru**

**zrobił z Donlim, czemu można byłoby zapobiec, gdybyście**

**przybyli na czas?**

**Fiell w dalszym ciągu patrzył gdzieś poza nią. Kropelki**

**potu wystąpiły mu na czoło.**

**— Nic takiego - wymamrotał. - Nic ważnego... wobec**

**samego morderstwa.**

**— Miałem zapytać panią, poruczniku Sairn - odezwał się**

**Jonafer**

**-**

**jaki**

**życzy**

**sobie pani obrządek pogrzebowy? Czy mamy prochy pochować**

tutaj,

rozsypać

w przestrzeni kosmicznej, czy zawieźć na waszą planetę?

Evalyth zwróciła twarz w jego kierunku.

— Nigdy nie wyrażałam zgody na kremację - powoli

cedziła słowa.

— Nie, ale... Niech pani będzie rozsądna. Najpierw

otrzymała

pani

środek

nasenny, potem uspokajający, a my w tym czasie odnaleźliśmy

zwłoki.

Uplłynął

już

pewien czas. Nie mamy żadnych przyrządów do, hm, zabiegów

kosmetycznych,

ani

zbędnego miejsca w komorach chłodniczych, a w tej

temperaturze...

Evalyth była jak otępiała od chwili, gdy wypuszczono ją z

izby chorych. Jeszcze niezupełnie do niej dotarło, że Doniego

już nie ma. Zdawało jej się, że za chwilę panie w drzwiach,

opromieniony światłem słonecznym, i zawoła do niej ze

śmiechem w głosie, i pocieszy po tym bezsensownym



**koszmarze, jaki niedawno przeżyła. Wiedziała, że stan ten wywołały środki psychotropowe, i przeklinała dobrą wolę lekarza.**

**Nieomal z rozkoszą powitała powolny przyływ gniewu.**

**Oznaczało to, że lekarstwo przestawało działać. Wieczorem będzie już zdolna do płaczu.**

**- Kapitanie - rzekła. - Widziałam, jak zginął. Widziałam**

**już**

**w**

**życiu**

**wiele**

**trupów, a niektóre z nich potwornie zmasakrowane. Na**

**Krakenie nie ukrywamy prawdy. Podstępem wydarł mi pan**

**moje prawo do ułożenia małżonka w trumnie i zamknięcia mu**

**oczu. Ale nie oddam panu prawa do sprawiedliwości. Żądam,**

**aby powiedział mi pan dokładnie, co się stało. Pięści Jonafera**

**zacisnęły się na blacie biurka.**

**— Nie wiem, czy będę w stanie to powiedzieć.**

**— Ale pan powie, kapitanie.**

**- Dobrze! Dobrze! - wrzasnął Jonafer. Słowa padały mu z**

**ust**

**jak**

**pociski.**

**-**

**Widzieliśmy wszystko, przekazane przez komunikator. Tamten**

**rozebrał**

**Doniego,**

**zawiesił go za nogi na drzewie i wypuścił całą krew do tego**

**swego**

**worka.**

**Wyciął**

**mu genitalia i wrzucił do środka, do krwi. Otworzył ciało i**

**wyciął**

**serce,**

**płuca,**

**wątrobę, nerki, tarczycę, gruczoł krokowy, trzustkę i wszystko**

**też**

**wrzucił**

**do**

**worka,**

**po czym uciekł do lasu. Dziwi się pani, że nie chcieliśmy**

**pokazać**

**pani**

**tego,**

**co**

**zostało z ciała?**

**- Lokończycy ostrzegali nas przed mieszkańcami dżungli -**

**powiedział**

**Fiell**

**martwym głosem. - Trzeba było ich słuchać. Ale były to takie  
żalodne karzelki. I wyciągnęły mnie z rzeki. Kiedy Donli mówił  
o ptakach - opisał je, wie pani, i zapytał, czy coś takiego się tu  
spotyka - Moru powiedział, że są, ale rzadkie i płochliwe; grupa  
ludzi by je na pewno spłoszyła, ale gdyby jeden z nim poszedł,  
to on, Moru, znalazłby gniazdo i może nawet zobaczyliby ptaka.  
Moru powiedział „dom”, ale Donli uznał, że chodziło o gniazdo.  
Tak nam przynajmniej mówił. Rozmawiał wtedy z Moru na  
uboczu, tak że widzieliśmy ich, ale nie słyszeli. Może to  
powinno było nas ostrzec, może trzeba było zapytać innych z  
tego plemienia. Ale nie widzieliśmy powodu... to znaczy, Donli  
był większy, silniejszy, uzbrojony w miotacz. Jaki dzikus  
odważyłby się go zaatakować? A zresztą przecież odnosili się  
do nas przyjaźnie, nawet z radością, kiedy przewyciężyli  
pierwszy strach. I okazali tyle samo ochoty do dalszych  
kontaktów, co wszyscy inni tu w Lokonie, i... - głos uwiązł mu w  
gardle.**

**- Czy zginęła broń lub narzędzia? - spytała Evalyth.**

**— Nie - odparł Jonafer. - Mam tu wszystko, co pani mąż  
miał  
przy  
sobie.**

**Może pani to od razu zabrać.**

— Nie sądzę - powiedział Fiell - by chodziło o akt

nienawiści.

Moru

musiał

się

powodować jakimś zabobonem.

Jonafer skinął głową.

- Nie możemy przykładać do niego naszej miary.

- A więc jaką? - odparowała Evalyth. Mimo to, że

wiedziała, iż znajduje się 'pod działaniem silnych środków

uspokajających, dziwiła się swemu spokojnemu tonowi. -

Niech pan pamięta, że pochodzę z Krakena. Nie pozwolę na to,

by dziecko Doniego przyszło na świat i wzrastało wiedząc, że

jego ojciec został zamordowany, a nikt nie próbował

wymierzyć mordercy sprawiedliwości.

— Nie może się pani mścić na całym plemienu -

powiedział Jonafer.

— Nie mam zamiaru. Ale, kapitanie, załoga naszej

ekspedycji

pochodzi

z

kilku

różnych planet, na których istnieją odrębne systemy

społeczne. Regulamin wyraźnie stwierdza, że będzie się

respektować podstawowe zasady moralne obowiązujące  
każdego członka załogi. Proszę o zwolnienie z obowiązków do  
czasu, gdy pochwycę mordercę mojego męża i wymierzę mu  
sprawiedliwość.

Jonafer pochylił głowę.

- Muszę na to przystać - powiedział cicho. Evalyth  
podniosła się z miejsca.

- Dziękuję panom - powiedziała. - Proszę mi wybaczyć, ale  
chciałabym  
od  
razu przystąpić do poszukiwań.

... Póki jeszcze działa jak maszyna, póki jest pod wpływem  
środków medycznych.

Na suchszych, chłodniejszych wyżynach rolnictwo  
przetrwało upadek reszty cywilizacji. Pola i sady, pracowicie  
uprawiane za pomocą neolitycznych narzędzi, dostarczały  
środków do życia kilku wioskom rozrzuconym wokół stolicy -  
Lokonu.

Miejscowa ludność powierzchnością przypominała  
mieszkańców dżungli. Nic dziwnego; niewielu osadników  
przeżyło, by dać początek tutejszej populacji. Mieszkańcy  
pogórza byli jednak lepiej odżywieni, bardziej wyrośnięci,  
wyprostowani, nosili tuniki z różnobarwnej tkaniny i sandały.

Bogatsi uzupełniali strój złotą i srebrną biżuterią. Włosy

upinano, zarost golono. Ludzie stąpali śmiało, nie obawiając się, jak dzikus! z lasu, ciągłych zasadzek. Gawędzili wesoło. Co prawda dotyczyło to tylko ludzi wolnych. Choć antropologowie z *Nowego Świtu* ledwie zaczęli zgłębiać tajniki miejscowej kultury, od razu stało się oczywiste, że Lokończycy mają liczną klasę niewolników. Niektórzy usługiwali w domu, inni trudzili się w pocie i znoju na polach, w kamieniołomach i kopalniach, pod biczem nadzorców i strażą żołnierzy, których miecze i ostrza włóczni wykute były ze starożytnego metalu Imperium. Nie był to jednak dla przybyszów z Kosmosu żaden szczególny wstrząs; widziano już gorsze rzeczy niż niewolnictwo. Banki danych wspominały o prehistorycznych państwach, jak Ateny, Indie Ameryka.

Evalyth kroczyła po krętych, pełnych kurzu uliczkach, między jaskrawo pomalowanymi ścianami sześciennych domów bez okien, zbudowanych z nie wypalanej cegły.

Mijający ją ludzie z gminu pozdrawiali ją z szacunkiem. Choć nikt już się nie obawiał, że przybysze mają złe zamiary, to

jednak

Evalyth

górowała

nawet

nad

najwyższymi

Lokończykami, włosy jej miały barwę metalu, a oczy nieba, u pasa nosiła błyskawice - a kto tam wiedział, jaką jeszcze nadprzyrodzona mocą rozporządzała.

Dziś jednak skłaniali się przed nią nawet dostojnicy i żołnierze, a niewolnicy padali na twarze. Gdzie stąpnęła, cichł rozgwar codziennego dnia; gdy mijala stragany na rynku, ustawał handel, a dzieci umykały do swych zabaw. Szła przed siebie w milczeniu współbrzmiającym z milczeniem jej duszy.

Groza zapanowała pod słońcem i śniegowym stożkiem góry Burus. Lokon wiedział już bowiem, że człowiek z gwiazd zginął z ręki dzikusa z nizin - ale co z tego wyniknie?

Wiadomość musiała już jednak dotrzeć do Rogara, który oczekiwał jej w swym domu przy jeziorze Zelo, nie opodal Świętego Miejsca. Rogar nie był ani królem, ani prezydentem, ani najwyższym kapłanem, ale wszystkim po trochu. To on głównie kontaktował się z przybyszami.

Jego domostwo było typowe; większe niż domy innych Lokończyków, ale skarłałe jakby wobec przyległych murów. Otaczały one pelen budynków teren, na który przybyszom wstęp był wzbroniony. U bramy stali zawsze strażnicy w szkarłatnych szatach i groteskowo rzeźbionych drewnianych hełmach. Dzisiaj było ich dwakroć więcej niż zwykle, a kilku następnych strzegło wejścia do domu Rogara. Od tafli jeziora, tak jak od polerowanej stali na plecach strażników, odbijało się

światło słoneczne. Drzewa na brzegach stały równie sztywno jak oni.

Ochmistrz Rogara, gruby stary niewolnik, rozplaszczyl się w bramie, gdy zbliżyła się Evalyth.

- Jeśli niewiasta z niebios raczy podążyc za mną, marnym robakiem,

Klev

Rogar oczekuje... - Strażnicy pochyliłi przed nią ostrza włóczni.

Ich

oczy,

szeroko

otwarte, zdradzały przerażenie.

Tak jak inne domy, ten również zwrócony był do

wewnątrz. Rogar siedział na podwyższeniu w sali otwierającej

się na podwórze. Wchodzącemu z jasnego dworu zdawało się,

że wewnątrz jest dwukrotnie ciemniej niż w rzeczywistości.

Evalyth ledwie dostrzegala freski na ścianach czy wzór

dywanu; zresztą artystycznie były one prymitywne. Całą uwagę

skupiła na Rogarze. Nie uniósł się z miejsca; tutaj nie

okazywano w ten sposób szacunku. Zamiast tego skłonił

posiwiiałą głowę nad splecionymi dłońmi. Ochmistrz wskazał

jej ławkę, a kucharz postawił obok niej czarę z herbatą ziołową.

Potem obaj zniknęli.

—Bądź pozdrowiony, Klev - Evalyth wypowiedziała



**formułę powitalną.**

**—Bądź pozdrowiona, niewiasto z niebios.**

**Już tylko, we dwoje, osłonięci przed okrutnymi  
promieniami słońca, zachowali rytualny okres milczenia.**

**Potem zaś:**

**- To straszne, co się wydarzyło, niewiasto z niebios -  
powiedział**

**Rogar.**

**-**

**Może tego nie wiesz, ale moje białe szaty i nagie stopy to  
oznaka**

**żałoby,**

**jak**

**po**

**bliskim mi zmarłym.**

**- To dobrze - odparła Evalyth. - Zapamiętamy to.**

**Dostojeństwo Rogara zniknęło gdzieś nagle.**

**— Pojmujesz, że nikt z nas nie miał nic wspólnego z tą  
zbrodnią,**

**nieprawdą?**

**Dzicy to również nasi wrogowie. To plugastwo. Nasi**

**przodkowie**

**pochwycili**

**kilku**

**i zatrzymali jako niewolników, ale poza tym do niczego się oni**

**nie**

**nadają.**

**Ostrzegalem twoich przyjaciół, by nie szli pośród tych, których**

**nie poskromiliśmy.**

**Taka była ich wola - odparła Evalyth. - A teraz moją wolą**

**jest**

**zemsta**

**za**

**zabicie męża. - Nie wiedziała, czy w ich języku istnieje wyraz**

**„sprawiedliwość”. Nieważne. W wyniku działania środków,**

**które wzmagaly logiczne myslenie, jednoczesnie tlumiac**

**emocje, poslugiwala sie jezykiem lokońskim wystarczajaco**

**dobrze jak na swe potrzeby.**

**- Możemy wysłać żołnierzy i pomóc ci zabić tylu dzikusów,**

**ilu zechcesz - zaproponował Rogar.**

**- Nie ma potrzeby. Z tą bronią, którą noszę u boku, sama**

**potrafię**

**zniszczyć**

**większą ich liczbę niż cała wasza armia. Potrzebuję twej rady i**

**pomocy**

**w**

**innej**

**sprawie. Jak mogę znaleźć tego, który zabił mego męża?**

**Rogar zmarszczył czoło.**

**— Dzicy potrafią znikać bez śladu w dżungli, niewiasto z niebios.**

**— Czy jednak potrafią znikać przed oczami innych dzikich?**

**— Ach! Sprytnie pomyślane, niewiasto z niebios. Owe plemiona**

**nieustannie**

**rzucają się sobie nawzajem do gardła. O ile uda się nam dotrzeć**

**do**

**któregoś,**

**jego**

**.łowcy wkrótce dowiedzą się dla ciebie, dokąd umknęło plemię mordercy.**

**-**

**Mars**

**na jego czole pogłębił się. - Ale on z pewnością odłączył się od nich,**

**by**

**się**

**ukryć**

**do czasu, gdy odejdziecie z naszym ziem. Odnalezienie jednego człowieka**

może  
okazać się niemożliwe. Ludzie z nizin umieją się z konieczności  
kryć.

—Co to znaczy: z konieczności?

Rogar dał po sobie poznać, że dziwi go ignorancja Evalyth  
w sprawie, która jest dla niego oczywista.

—Jak to? Wyobraź sobie człowieka, który wyszedł na łowy

-  
powiedział.

-  
Nie zawsze chodzi się polować w większej grupie; hałas i woń

mogą  
odstraszyć

zwierzynę, więc często człowiek udaje się sam do dżungli. A

tam  
może

zaczaić  
się

na niego ktoś z innego plemienia. Człowiek zabity w zasadzce

to  
taka

sama  
korzyść, jak człowiek zabity w otwartej walce.

— Skąd te nieustanne wojny?

**Rogar wyglądał na coraz bardziej zaskoczonego.**

**— A skąd by wzięli ludzkie ciało?**

**— Przecież go nie zjadają?**

**- Nie, oczywiście, że nie, chyba że w razie potrzeby. Ale, jak ci wiadomo, potrzeba taka często się pojawia. Wojny toczą głównie po to, by zabijać; łupy też się przydadzą, ale nie są głównym powodem walk. Zabójca staje się właścicielem zwłok i oczywiście rozdziela je wyłącznie między swych najbliższych. Nie każdy ma szczęście w boju. Dlatego ci, którym nie udało się zabić w bitwie, mogą chodzić na łowy osobno, po dwóch czy trzech, w nadziei, iż znajdą pojedynczego człowieka x innego plemienia, i dlatego mieszkańcy nizin nauczyli się dobrze chować.**

**Evalyth nie poruszyła się ani nie odezwała słowem. Rogar zaczerpnął głęboko powietrza i kontynuował wyjaśnienia.**

**- Niewiasto z niebios, kiedy usłyszałem złą nowinę, długo rozmawiałem**

**z**

**ludźmi**

**:0d was. Powiedzieli mi o tym, co zobaczyli z daleka za pomocą**

**tych**

**cudownych**

**urządzeń, które macie. Stąd też jest dla mnie jasne, co się**

**wydarzyło. Ten przewodnik... jakże się on nazywa? Tak,**

**Moru... no więc on jest kaleką. Nie może myśleć o zabiciu człowieka inaczej jak przez zdradę. Kiedy dostrzegł okazję, postanowił ją wykorzystać. - Pozwolił sobie na uśmiech. - To by się nigdy nie wydarzyło na pogórzcu - oświadczył. - Nie wywołujemy wojen; walczymy tylko wtedy, gdy zostaniemy zaatakowani. Nie polujemy też na ludzi jak na zwierzęta. Nasza rasa, podobnie jak wasza, jest cywilizowana. -Wargi jego rozchyliły się, ukazując olśniewająco białe zęby. - Ale, niewiasto z niebios, twój mąż został zabity. Proponuję, aby go pomścić nie tylko na zabójcy, jeśli go złapiemy, ale na całym jego plemienu, które z pewnością możemy odnaleźć, tak jak mówiłaś. To nauczy wszystkich dzikusów, by odczuwali strach przed lepszymi od siebie. Potem możemy podzielić się ich ciałami: połowa dla waszych ludzi, a połowa dla moich. Ewalyth była w stanie odczuwać tylko intelektualne zaskoczenie. A mimo to miała takie wrażenie, jakby przed chwilą zrobiła krok w przepaść. Patrzyła przez cienie w surową twarz starca i po długiej chwili usłyszała własny szept:**

**— Wy... tutaj... też... zjadacie... ludzi?**

**— Niewolników - odrzekł Rogar. - Nie więcej, niż zachodzi konieczność.**

**Jeden wystarczy dla czterech chłopców.**

**Dłoń Ewalyth opadła na rękojeść broni. Rogar zerwał się na równe nogi przerażony.**

**- Niewiasto z niebios - wykrzyknął - wyjaśniałem ci, że**

**jesteśmy**

**cywilizo**

**wani! Nie musisz się obawiać ataku ze strony kogokolwiek z**

**nas! My... my...**

**Wstała również, górując nad nim wzrostem. Czy odczytał**

**wyrok w jej spojrzeniu? Czy odczuwał trwogę także w imieniu**

**swych współplemieńców? Kulił się pod jej wzrokiem, pocił i**

**dygotał.**

**- Niewiasto z niebios, uwierz mi, nie masz w Lokonie**

**wrogów...**

**nie,**

**teraz**

**pokażę ci, zabiorę cię do Świętego Miejsca, nawet jeśli nie**

**zostałaś wtajemniczo na... z pewnością bowiem jesteście równi**

**bogom, z pewnością bogowie się-nie rozgniewają... Chodź,**

**pokażę ci, jak to jest, udowodnię, że nie mamy woli ani**

**potrzeby być waszymi wrogami...**

**I oto brama, którą Rogar otworzył przed nią w potężnym**

**murze. Oto spojrzenia zaszokowanych strażników i głośnie**

**przyrzeczenia wielu ofiar w celu ułagodzenia gniewu Potęg.**

**Oto rozciągający się za bramą kamienny chodnik, rozgrzany i**

**dudniący głucho pod stopami. Oto wyszczerzone bożki stojące**

**wzdłuż głównej świątyni. Oto dom akolitów dźwigających całe**

**brzemie pracy, skulonych teraz w przerażeniu na widok ich  
pana wprowadzającego obcą osobę. Oto baraki niewolników.**

**- Spójrz, niewiasto z niebios, traktujemy ich dobrze,**

**czyż**

**nie?**

**Musimy**

**gruchotać im stopy i dłonie, gdy wybieramy ich w wieku**

**dziecięcym**

**do**

**tej**

**służby.**

**Pomyśl, jakim zagrożeniem byłyby inaczej setki młodych**

**chłopców**

**i**

**mężczyzn**

**zgrupowanych w tym miejscu. Ale traktujemy ich po ludzku,**

**dopóki**

**są**

**spokojni.**

**Czyż nie porośli tłuszczem? Ich własny Święty Pokarm jest**

**szczególnie godzien szacunku: ciała mężczyzn wszelakiego**

**stanu, którzy polegli w kwiecie wieku. Uczymy ich, że nadal**

**będą żyć w tych, dla których ich zabijamy. Większość z nich**

**oswoiła się z tą myślą, wierz mi, niewiasto z niebios. Zapytaj**



ich sama... choć pamiętaj, że z czasem tępieją nic nie robiąc rok za rokiem. Zabijamy ich szybko, czysto, na początku każdego lata... nie więcej, niż potrzeba dla każdego rocznika chłopców wkraczających w wiek męski, nie więcej. A jest to piękny rytuał, po którym następuje wiele dni ucztowania i zabaw. Rozumiesz teraz, niewiasto z niebios? Nie masz się czego obawiać z naszej strony. Nie jesteśmy dzikusami walczącymi, napadającymi i czyhającymi w zasadzkach po to, by zdobyć ciało ludzkie Jesteśmy cywilizowani... nie bogom podobni, jak wy, nie, tego nie ośmieliłbym się powiedzieć, nie gniewaj się... ale cywilizowani - i z pewnością godni waszej przyjaźni, czyż nie tak? Czyż nie tak, niewiasto z niebios?

Chena Darnard, kierowniczka zespołu antropologii kulturalnej, poleciała swemu komputerowi sprawdzić bank danych. Tak jak inne, jej komputer był przenośny, zespoły pamięci bowiem pozostawały na pokładzie *Nowego Świtu*. W tej chwili statek znajdował się po drugiej stronie planety i przesyłanie informacji łączami zabierało uchwytny przeciąg czasu.

Chena usadowiła się wygodnie w fotelu i spojrzała uważnie na siedzącą po ; drugiej stronie biurka Evalyth. Krakenka była tak spokojna, że aż nienaturalna, i mimo że z pewnością krązące w jej systemie krwionośnym medykamenty Szachowały jakąś siłę działania. Bez wątpienia

Evalyth pochodziła z arystokracji tamtej wojowniczej społeczności. Poza tym na różnych planetach mogą istnieć dziedziczne różnice fizjologiczne i psychologiczne. Niewiele o tym wiedziano poza przypadkami skrajnymi, jak Gwydion... i ta planeta? Ale i tak, pomyślała Chena, byłoby lepiej, gdyby Evalyth dała upust swemu wstrząsowi i smutkowi.

—Kochanie, czy jesteś pewna tego, co ustaliłaś? - spytała, jak potrafiła najłagodniej. - Chcę przez to powiedzieć, że choć tylko ta wyspa nadaje się do zamieszkania, ma ona znaczne rozmiary, łączność jest prymitywna, a moja grupa ustaliła istnienie dziesiątków prymitywnych kultur.

— Wypytywałam Rogara ponad godzinę - odparła

Evalyth  
tym  
samym  
bezbarwnym głosem, patrząc tym samym bezbarwnym  
wzrokiem  
co  
poprzednio.

-

Znam  
różne  
techniki  
przesłuchania... a on był porządnie poruszony. Powiedział mi

wszystko. Sami Lokończycy nie są tak zacofani jak ich technika. Od wieków już żyją mając pod bokiem zagrażające ich granicom dzikie plemiona. Zmusiło ich to do utworzenia porządnego systemu wywiadowczego. Rogar dokładnie mi opisał jego funkcjonowanie. Wiele to nie pomoże, ale sprawia, że Lokończycy nieźle wiedzą, co się wokół nich dzieje. Choć obyczaje plemienne znacznie się od siebie różnią, kanibalizm występuje powszechnie, i dlatego nikomu z nich nie przyszło do głowy, by nam o tym powiedzieć. Uznali, że my zdobywamy ludzkie mięso własnymi sposobami.

— Występuje, hm, dowolność w tych metodach?

— O, tak. W Lokonie tuczy się do tego celu niewolników.

Ale większość mieszkańców nizin jest na to zbyt biedna.

Niektórzy uciekają się do wojen i mordów. U innych rozstrzyga się to wewnątrz plemienia przez zbrojne pojedynki.

Albo... jakie to ma znaczenie? Ważne jest, że w całej zamieszkaney części planety, Obojętnie w jaki sposób, chłopcy doznają inicjacji przez jedzenie ciała dorosłego mężczyzny.

Chena przygryzła wargi.

— Cóż takiego, na Chaos, mogło być tego przyczyną? -

Komputer! Sprawdziłeś?

— Tak - odparł mechaniczny głos dochodzący z pudełka

stojącego na biurku. - Dane o kanibalizmie ludzkim są

stosunkowo

**nieliczne,**

**ponieważ**

**samo**

**zjawisko**

**jest**

**rzadkością. Na wszystkich planetach dotąd nam znanych jest on zakazany i tak było w ciągu ich dziejów, choć czasem uznaje się go za wybaczalny jako środek nadzwyczajny w sytuacji, gdy nie ma innego sposobu przetrwania. Zdarzały się bardzo ograniczone formy czegoś, co można by nazwać kanibalizmem rytualnym, jak na przykład wzajemne wypijanie niewielkich ilości krwi podczas ślubowania braterstwa w klanie Falkenów z Lochlanny...**

**— To możesz pominąć - rzekła Chena. Napięcie w gardle sprawiło, że głos jej nabral niźszych tonów. - Tylko że tutaj, jak się wydaje, degeneracja posunęła się tak szybko, że... A jeśli to nie degeneracja? Może nawrót? Jak to było na Starej Ziemi?**

**— Informacje są fragmentaryczne. Poza tym, co zaginęło**

**podczas**

**Długiej**

**Nocy,**

**wiedza o tamtym okresie ucierpiała jeszcze z tego względu, że ostatnie społeczeństwa prymitywne na Ziemi zniknęły przed początkami lotów międzygwiazdnych. Pozostały jednak pewne**

**dane zebrane przez starożytnych historyków i uczonych.**

**Otóż kanibalizm występował czasami jako część ceremonii przewidującej ofiarę z człowieka. Zazwyczaj w takim przypadku ofiary nie jedzono. Jednak w nielicznych religiach ciała, czy też ich pewne fragmenty, zjadała czy to wybrana klasa osób, czy też cała społeczność. Powszechnie uznawano to za teofagię. I tak Aztekowie z Meksyku corocznie składali w ofierze Swym bogom tysiące ludzi. Prowokowało to wybuchy wojen i buntów, dzięki czemu z kolei późniejsi europejscy najeźdźcy z łatwością znaleźli miejscowych sprzymierzeńców. Większość jeńców po prostu zabijano, a ich serca bezpośrednio składano w ofierze bogom. Ale przynajmniej w jednym kulcie ciała dzielono wśród wyznawców.**

**Kanibalizm mógł występować również pod postacią czarów. Zjadając jakiegoś człowieka nabierało się jego cnót.**

**Taki był główny motyw ludożerstwa w Afryce i Polinezji.**

**Obserwatorzy z tamtych czasów stwierdzali, że ludzkie mięso stanowiło smakołyk, ale to łatwo pojąć, szczególnie gdy dotyczyło to obszarów ubogich w białko.**

**Jedyny**

**zarejestrowany**

**przypadek**

**systematycznego**

**ludożerstwa nie związanego z obrzędami występował wśród**

**Indian Carib. Jedli oni ludzi, bo ludzkie mięso bardziej im smakowało. Szczególnie odpowiadały im małe dzieci i często brali w niewolę kobiety używając ich do celów rozplodowych. Synów tych niewolnic kastrowano, by byli posłuszni i by ich mięso było lepsze. Głównie ze względu na odrazę do takich praktyk Europejczycy wybili Caribów do ostatniego.**

**Komputer zakończył przekazywanie danych. Chena skrzywiła się.**

**- Rozumiem tych Europejczyków - stwierdziła.**

**Evalyth sprzed kilku dni uniosłaby w tym momencie brwi w zdziwieniu; teraz jednak twarz jej pozostała tak martwa jak głos.**

**— Czy nie powinnaś być obiektywną uczoną?**

**— Tak. Z pewnością. Ale istnieje taka rzecz jak ocena wartości.**

**A**

**oni**

**zabili**

**Doniego.**

— **Nie oni. Jeden z nich. Znajdę go.**

**On jest tylko wytworem swej kultury, kochanie, jest skażony jak jego rasa. - Chena zaczerpnęła tchu usiłując mówić spokojnie. - Bez wątpienia to skażenie stało się podstawą zachowań - powiedziała. - Jestem pewna, że powstało ono w Lokonie. Promieniowanie kulturalne zawsze emanuje od ludów bardziej rozwiniętych do zacofanych. A na pojedynczej wyspie po upływie wieków nikomu nie udało się ujść zarazie. Później Lokończycy zracjonalizowali te praktyki i nadali im wymyślną postać. Dzicy zaś pozostawili swe okrucieństwo w nagiej formie. Ale czy to człowiek z pogórza, czy z nizin, jego życie zawsze będzie oparte na tej formie judzkiej ofiary.**

**- Czy można ich tego oduczyć? - spytała Evalyth, nie okazując jednak głębszego zainteresowania tą sprawą.**

**- Owszem. Z czasem. W teorii. Ale, hm... wiem dosyć o tym, co zdarzyło się na Starej Ziemi i gdzie indziej, kiedy społeczeństwa rozwinięte chciały zreformować społeczeństwa prymitywne. Cała struktura uległa zagładzie. Tak musiało się stać. Pomyśl o tym, co będzie, gdy nakażemy tym ludziom zrzec**

**się ich rytuału inicjacji. Nie usłuchają. Nie mogą. Muszą mieć wnuki. Wiedzą, że ich syn nie stanie się mężczyzną, dopóki nie zje ciała ludzkiego. Będziemy musieli siłą wywrzeć nacisk, większość z nich zabić, a z reszty uczynić posępnych niewolników. A gdy następny rocznik chłopców faktycznie dojrzeje bez magicznego pokarmu... co wtedy? Potrafisz sobie wyobrazić tę demoralizację, to poczucie kompletnej niższości, ten żal po utracie tradycji, która stanowi jądro osobistej tożsamości wszystkich ludzi? Zaiste, bardziej humanitarne byłoby zbombardować wyspę i zniszczyć tu całe życie.**

**Chena potrząsnęła głową.**

**- Nie - głos jej stał się szorstki. - Jeśli chcielibyśmy to załatwić porządnie, należałoby działać stopniowo. Moglibyśmy wysłać misjonarzy. Posługując się ich nauką i przykładem może udałoby się gdzieś po dwóch czy trzech pokoleniach, skłonić tubylców do pierwszych prób zaniechania tego obyczaju... A na to nas nie stać. I długo nie będzie stać, skoro w galaktyce jest tyle planet o wiele bardziej godnych tej mizernej pomocy, którą możemy zaoferować. Mam zamiar zgłosić wniosek o pozostawienie mieszkańców tej planety samym sobie.**

**Evalyth przyglądała się jej w milczeniu. Dopiero po pewnej chwili spytała:**

**- Czy powodem tej decyzji nie są czasem twoje własne**



odruchy?

- Owszem - przyznała Chena. - Nie potrafię przewyciężyć odrazy. A przecież, jak sama to podkreśliłaś, mam podobno otwarty umysł. Więc nawet jeśli Komisja postanowi zwerbować misjonarzy, wątpię, czy jej się to powiedzie. - Zawahała się. - I ty też, Evalyth...

Krakenka wstała z miejsca.

- Moje odczucia nie mają tu żadnego znaczenia - odparła. -

Ważny

jest

mój

obowiązek. Dziękuję ci za pomoc. - Obróciła się na pięcie i marszowym krokiem wyszła z domku.

Chemiczne zabezpieczenia zaczynały już pękać. Evalyth stała przez chwilę przed niewielkim budyneczkiem, który do niedawna był domem dla niej i Doniego; bała się wejść do środka. Słońce stało nisko, toteż w baraku pełno było cieni.

Nad głową bezszelestnie krążył stwór o błoniastych skrzydłach i węzowym ciele. Zza palisady dochodziły odgłosy kroków, słowa wypowiedane w obcym języku, ła wodzenie piszczałek.

W powietrzu pojawił się chłód. Zadrżała. W domu będzie zbyt pusto

Ktoś nadchodził. Z daleka rozpoznała Alsabetę Mondain z planety Nuevamerica. Wysłuchiwanie jej głupich kondolencji

składanych w jak najlepszych zamiarach byłoby jeszcze gorsze niż wejście do domu. Evalyth pokonała trzy ostatnie schodki i zasunęła za sobą drzwi.

Donli już tu nie przyjdzie. Nigdy.

Ale okazało się, że w środku go nie brakuje. Raczej było go za pełno: fotel, w którym lubił siadywać czytając ów wyświechtany tomik poezji, których nie potrafiła zrozumieć i drażniła się z nim z tego powodu, stół, przez który posyłał jej toasty i pocałunki, szafa, w której wisiało jego ubranie, para zdartych pantofli, łóżko - wszystko krzychało nim. Evalyth szybko przeszła do części laboratoryjnej i zasunęła kotarę oddzielającą ją od części mieszkalnej. Hałas wywołany zasuwaniem zdawał się monstrualny w ciszy wieczoru.

Zacisnęła powieki i pięści i stała dysząc ciężko. Nie rozkleję się, przyrzekła sobie. Zawsze mówileś, że kochasz mnie za moją siłę - poza wielu innymi cechami wartymi grzechu, dodawałeś zawsze z tym swoim lekkim uśmieszkiem, ale tamto jeszcze pamiętam - i nie mam zamiaru pozbywać się czegokolwiek, za co mnie kochałeś.

Muszę się wziąć do roboty, zwróciła się teraz do dziecka Doniego. Dowództwo wyprawy z pewnością postąpi według rekomendacji Cheny i zwinie kramik. Nie ma za wiele czasu na pomszczenie twojego ojca.

Nagle otworzyła oczy. Co ja wyprawiam? - pomyślała

**oszołomiona. - Rozmawiam z trupem i plodem?**

**Włączyła świetlówkę i podeszła do komputera. Nie różnił się niczym od innych przenośnych systemów. Donli go używał.**

**Nie potrafiła jednak oderwać oczu od charakterystycznych zadrapań i wygięć prostopadłościennej obudowy, podobnie zresztą jak i od mikroskopu Doniego, analizatorów chemicznych, wskaźnika chromosomów, okazów**

**biologicznych... Usiadła. Nie odmówiłaby sobie szklaneczki czegoś mocniejszego, ale potrzebna jej była jasność umysłu.**

**- Włącz się! - rozkazała.**

**Zapłonął żółty wskaźnik zasilania. Evalyth pociągnęła się za podbródek szukając Odpowiednich słów.**

**- Stawiam zadanie - powiedziała w końcu. - Chodzi o odnalezienie tubylca z nizin, który spożył kilka kilogramów ciała i krwi osobnika należącego do naszej grupy, po czym zniknął w dżungli. Zabójstwo miało miejsce przed około sześćdziesięcioma godzinami. Jak można go odnaleźć?**

**Odpowiedzią był ledwie słyszalny szum. Wyobraziła sobie kolejne połączenia: z maserem w wahadłowcu, następnie poza niebem - z najbliższym łączem orbitalnym, potem następnym i następnym wokół wzdętego brzucha planety, obok żarłocznego słońca i nieludzkich planet, aż w końcu impulsy dotrą do statku-bazy, gdzie trafią do sztucznego mózgu, który skieruje pytanie do odpowiedniego banku danych; następnie do**

skanerów, których energia rezonansowa przebiegała od jednej odkształconej cząstki do drugiej identyfikując więcej informacji, niż warto było liczyć, danych zebranych z setek czy tysięcy całych planet, danych zachowanych sprzed klęski Imperium i późniejszych mrocznych wieków, danych sięgających czasów Starej Ziemi, która może już nawet nie istniała. Odepchnęła od siebie owe myśli i zatęskniła za drogim, surowym Krakenem. Polecimy tam, przyrzekła dziecku Doniego. Zamieszkasz tam, z dala od tych wszystkich maszyn, i dorośniesz tak, jak to sobie zamyślili bogowie.

- Pytanie - odezwał się mechaniczny głos. - Jakiego pochodzenia była ofiara zabójstwa? Evalyth musiała zwilżyć wargi, nim była w stanie odpowiedzieć:

- Był to mieszkaniec Athei, Donli Sairn, twój pan.

- W takim razie istnieje możliwość odnalezienia poszukiwanego tubylca. Nastąpią teraz obliczenia szansy. Czy mam tymczasem podać powody, dla których uznano, że istnieje taka możliwość?

- T-tak.

- Struktura biochemiczna Athei rozwijała się w sposób zbliżony do Ziemi - powiedział głos - i osadnicy wczesnego okresu nie mieli trudności z zaprowadzeniem tam ziemskich gatunków roślin i zwierząt. Z tego też powodu otaczało ich przyjazne środowisko, w którym ludność wkrótce osiągnęła

liczbę wystarczająco wysoką, by nie obawiać się zmian rasowych poprzez mutacje lub znos genetyczny. Poza tym nie występowały żadne czynniki wymuszające dobór naturalny, który mógłby spowodować zmiany. Stąd też współczesny mieszkaniec Athei niewiele różni się od swego przodka - kolonisty z Ziemi; i dlatego dokładnie znamy jego cechy fizjologiczne i biochemiczne.

Taka sytuacja miała najczęściej miejsce na większości planet skolonizowanych, co do których zachowały się zapisy.

Tam zaś, gdzie pojawiły się ludzkie mutacje, stało się tak głównie dlatego, że pierwsi osadnicy stanowili grupy ściśle dobrane. Dobór losowy oraz ewolucyjne przystosowanie do nowych warunków rzadko dawały radykalne zmiany biotypu.

Na przykład krzepkość przeciętnego Krakeńczyka jest rezultatem działania stosunkowo wysokiej siły ciężenia; jego masywna budowa pomaga mu znosić chłód, natomiast jasna cera przydaje się w przypadku światła słonecznego tak ubogiego w promienie ultrafioletowe. Ale jego przodkowie mieli już cechy wrodzone przydatne do życia na takiej planecie.

Odchylenia od tamtej normy nie są skrajne. Nie przesądzają one o zdolności do życia na innych podobnych do Ziemi planetach ani o możliwości płodzenia dzieci z ich mieszkańcami.

Czasem jednak pojawiały się większe odchylenia. Jak się

wydaje, ich powodem były niewielkie rozmiary pierwszej grupy osadników, odmienne od ziemskich warunków na planecie albo też obie te przyczyny razem. Kolonia mogła być nieliczna, ponieważ większej liczby ludzi planeta nie byłaby w stanie wyżywić, albo też liczba osadników zmalała w wyniku akcji zbrojnych w okresie zagłady Imperium. W pierwszym wypadku zwiększyła się możliwość występowania niepożądanych mutacji genetycznych; w drugim, powodem pojawienia się znacznej liczby mutantów wśród dzieci tych, którzy przeżyli, było promieniowanie. Zmiany dotyczą nie tyle podstaw anatomicznych, co drobnych cech związanych z przemianą endokrynologiczną i enzymatyczną, która ma wpływ na fizjologię i psychikę danej rasy. Jednym ze znanych przykładów może być reakcja mieszkańców Gwydiona na nikotynę i niektóre indole, a także zapotrzebowanie Ifrian na śladowe ilości ołowiu. Czasem takie różnice powodują, że mieszkańcy dwóch różnych planet nie mogą ze sobą począć potomstwa.

Mimo że tutejsza planeta została dotąd zbadana jedynie bardzo pobieżnie... - słowa te wyrwały Evalyth z zadumy, w jaką wprowadził ją wykład komputera - ... niektóre fakty nie ulegają wątpliwości. Niewielu ziemskim gatunkom udało się tu zaaklimatyzować. Z pewnością na początku hodowano też i inne, które jednak wymarły, gdy utracono bazę techniczną

potrzebną do ich utrzymania. Stąd też tutejszy człowiek musiał wykorzystywać miejscowe formy życia jako główne źródło pożywienia. Owo życie nie zawiera wielu składników ważnych dla człowieka. Na przykład wydaje się, że jedynym źródłem witaminy C są rośliny przywiezione z Ziemi; Sairn zaobserwował, że tubylcy spożywają wielkie ilości trawy i liści pochodzących z tych gatunków, a zdjęcia fluoroskopowe wykazały, że taki sposób odżywiania w poważnym stopniu zmienił wygląd ich przewodu pokarmowego. Nie udało się nikogo z nich skłonić do oddania próbek skóry, krwi, śliny i tym podobnych, nawet ze zwłok. - Boją się czarów, pomyślała ponuro Ewalyth, tak, i do tego już się cofnęli. Jednak intensywna analiza mięsa zwierząt spożywanych tu najczęściej wykazała niedostatek trzech podstawowych aminokwasów, przystosowanie się zaś człowieka do tej sytuacji musiało spowodować poważne zmiany na poziomie komórkowym i podkomórkowym. Prawdopodobny rodzaj i zasięg tych zmian da się obliczyć.

- Obliczenia są już gotowe. - W momencie gdy komputer ponownie przemówił, Ewalyth schwyciła oparcie fotela i wstrzymała oddech. - Istnieje dość wysokie prawdopodobieństwo powodzenia. Ciało mieszkańca Athei stanowi tu element obcy. Metabolizm sobie z nim poradzi, ale ciało spożywającego je tubylca będzie wydzielać pewne związki

chemiczne, a te nadadzą charakterystyczny zapach jego skóry i oddechowi, podobnie jak moczowi i kałowi. Istnieje poważna szansa, że będzie go można odszukać za pomocą zmodyfikowanej metody Freeholdera w promieniu nawet kilku kilometrów jeszcze po upływie sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu godzin. Ponieważ jednak cząsteczki omawianych związków przez cały czas ulegają rozpadowi i rozproszeniu, zaleca się szybkie działanie.

Odnajdę mordercę Doniego. Wokół Evalyth rozszalała się ciemność.

- Czy zamówić dla ciebie organizmy i zadać im właściwy program poszukiwań? - zapytał głos. - Możesz je otrzymać w ciągu około trzech godzin.

- Tak - wyjąkała. - Och, proszę... czy masz jeszcze jakieś rady?

- Ten człowiek nie powinien zostać zabity od razu, należy go tu sprowadzić na badania, choćby tylko po to, by udało się wykonać naukowe zadania wyprawy.

Oto przemawia maszyna, wykrzyknęła w myślach Evalyth.

Zaprojektowano ją tak, by służyła badaniom. Nic poza tym. Ale należała do niego. A jej odpowiedź była tak podobna do tego, co powiedziałby Donli, że Evalyth nie potrafiła dłużej powstrzymać łez.

Jedyny wielki księżyc wzeszedł nieomal w pełni wkrótce



po zachodzie słońca. Przyćmił blask większości gwiazd;  
dżungla w dole skąpana była w srebrnej poświacie przetykanej  
czernią. Na niewidocznym krańcu świata unosił się nierealny  
śnieżny stożek góry Burus. Przycupniętą na grawisaniach  
Evalyth opływał wiatr pełen woni wilgotnych i gryzących;  
zdawał się zimny, choć nie był, i chichotał za jej plecami. Co  
kilka minut rozlegało się jakieś skrzeczenie; coś krakało w od-  
powiedzi.

Popatrzyła spode łba na indykatory położenia świecące na  
tablicy sterowniczej. Niech to Chaos, Moru musi być w tym  
rejonie! Nie mógłby uciec pieszo z doliny w tym czasie, a  
sprawdziła już prawie całą dolinę. Jeśli skończą się jej żuczki, a  
nie znajdzie Moru, czy może założyć, że on nie żyje? Ale  
przecież i tak znalazłoby się jego ciało? Chyba że leży gdzieś  
głęboko zakopane. O, tu będzie dobrze. Unieruchomiła  
grawisanie, zdjęła ze stojaka kolejną fiolkę i wstała, by ją  
opróżnić.

Żuczki wyleciały w wielkiej masie, drobne jak dym  
unoszący się w świetle księżyca. Kolejne niepowodzenie?  
Nie! Chwileczkę! Chyba skupiają się w ledwie widoczne  
pasma i znikają w dole! Serce jej łomotało, gdy patrzyła na  
indikator. Jego neu rodetektorowa antena nie kołysała się już  
bez celu, ale wskazywała prosto na zachodni południowy  
zachód, odchylenie trzydzieści dwa stopnie poniżej poziomu.

Tylko skupisko żuczków mogło spowodować takie jej zachowanie. A jedynie ta konkretna mieszanina cząstek, na jaką żuczki zostały uczulone, w koncentracji kilku na milion lub większej, zmusiłaby je do skupienia się na źródle emisji.

- Jaaaaa - nie zdołała powstrzymać tego jastrzębiego okrzyku. Potem jednak zagryzła wargi, a po podbródku pociekł jej nie zauważony strumyczek krwi. Dalej prowadziła sanie w milczeniu.

Miała do pokonania ledwie kilka kilometrów. Zatrzymała się przed polaną. W porastającej ją wybujałej roślinności połyskiwały kałuże spienionej wody. Otaczające polanę drzewa wyglądały jak lity mur. Evalyth zsunęła z helmu na oczy okulary noktowizyjne. Dostrzegła stojący na polanie szałas, pośpiesznie upleciony z pędów i gałęzi, oparty o dwa najwyższe drzewa, których gałęzie miały go chronić przed wykryciem z powietrza. Żuczki wlatywały do szałas.

Evalyth opuściła sanie na metr nad ziemią i ponownie wstała. W jej lewej dłoni znalazł się wyciągnięty z kabury ogłuszacz, prawa spoczywała na rękojeści miotacza.

Z szałas wygramolili się dwaj synowie Moru. Żuczki wirowały wokół nich jak mgła zamazująca ich sylwetki.

Oczywiście, pojęła Evalyth, osiągając mimo to z powodu wstrząsu wyższy stopień nienawiści, mogłam się domyślić, że to oni będą pożerać. Chłopcy bardziej niż inni przypominali

**gnomy: wychudłe kończyny, wielkie głowy, wydęte brzuchy typowe dla niedożywienia. Krakeńscy chłopcy w ich wieku byliby dwukrotnie więksi i znacznie bardziej zaawansowani w procesie dojrzewania. Te nagie ciała należały do dzieci, choć ich groteskowość miała w sobie coś ze starości.**

**Za chłopcami wyszli rodzice, zignorowani przez opętane obsesją żuczki. Matka zawodziła; Evalyth rozpoznała kilka słów.**

**- Co się stało, co to za paskudztwo... och, pomocy... - Ale wzrok Evalyth spoczywał tylko na Moru.**

**Kiedy kuśtykając wychodził z szalasu, pochylony, by zmieścić się w otworze wejściowym, wydał się Evalyth jakimś ogromnym chrząszczem spelzającym z kupy gnoju. Poznałaby jednak zawsze tę kudlatą głowę, choć teraz jej własny mózg rozpadał się na kawałki. Moru miał w ręku kamienny nóż, zapewne ten sam, którym pokroił Donliego. Zabiorę mu go, wraz z ręką, która go trzyma, lkała. Będzie żył, a ja rozczłonkuję go własnoręcznie, w chwilach przerwy zaś będzie patrzył, jak obdzieram ze skóry jego odrażający pomiot.**

**Przez jej myśli przebił się krzyk kobiety. Kobieta dostrzegła metalowy pojazd i stojącą na jego platformie olbrzymkę, której czaszka i oczy połyskiwały w księżycowym świetle.**

**- Przyszłam po ciebie, który zabiłeś mego męża - rzekła**

**Evalyth. Matka ponownie krzyknęła i rzuciła się, zasłaniając chłopców. Ojciec usiłował zabiec jej drogę, ale chroma stopa zawinęła się pod nim i upadł w kałużę. Kiedy usiłował się wygramolić z błota, Evalyth strzeliła z ogłuszacza do kobiety. Nie rozległ się żaden dźwięk; kobieta osunęła się i leżała bez ruchu.**

**- Uciekajcie! - krzyknął Moru. Rzucił się w kierunku sani.**

**Evalyth przekręciła drążek sterowniczy. Pojazd .lukiem wznosił się lecąc w stronę chłopców. Strzeliła do nich z góry, gdzie Moru nie mógł jej dosięgnąć.**

**Ukląkł przy najbliższym, wziął jego ciało w ramiona i spojrział w górę. Księżyc bezlitośnie oświetlał jego twarz.**

**- I co jeszcze możesz mi uczynić? - zawołał Moru.**

**Evalyth ogłuszyła i jego, wylądowała, zeszła z platformy i skrępowała całą czwórkę. Ładując ciała na sanie stwierdziła, że są lżejsze, niż się spodziewała.**

**Pot wystąpił jej na całym ciele, aż kombinezon przylgnął jej do skóry. Zaczęła dygotać, jakby w gorączce. Szumiało jej w uszach.**

**- Powinnam była was zabić - rzekła. Zdawało jej się, że własny głos brzmi jakoś odległe, nieznanome. A jeszcze gdzieś dalej w jej umyśle powstało pytanie, po co w ogóle przemawia do nieprzytomnych, i to we własnym języku.**

**- Szkoda, że zachowaliście się właśnie w ten sposób. To**

**sprawilo, że przypomniałam sobie, co powiedział komputer: że przyjaciele Doniego potrzebują was do badań. To chyba zbyt wielka okazja, by ją przepuścić. Po tym, co zrobiliście, możemy, zgodnie z prawem Zjednoczonych Planet, uwięzić was i nikt się nie będzie rozczulał nad waszym losem.**

**Och, nie potraktują was po barbarzyńsku. Kilka próbek tkanek, wiele testów, pod znieczuleniem, jeśli będzie trzeba, nic bolesnego, nic poza badaniem klinicznym, tak szczegółowym, jak pozwoli na to wyposażenie. I na pewno dadzą wam lepiej jeść, niż dotąd jedliście, i na pewno medycy znajdą w was jakieś choroby, które będą mogli wyleczyć. A w końcu. Moru, wypuszczą twoją żonę i dzieci.**

**Spojrzała mu prosto w przerażającą twarz.**

**- Cieszę się - rzekła - że dla was, którzy nie pojmujecie, co się dzieje, będzie to nieprzyjemne przeżycie. A kiedy już skończą. Moru, zażądam, aby przynajmniej ciebie mi oddali.**

**Tego nie mogą mi odmówić. Przecież wasze plemię faktycznie was wypędziło. Prawda? Obawiam się, że moi koledzy nie dopuszczą, bym zrobiła coś więcej poza zabiciem ciebie, ale z tego nie zrezygnuję.**

**Zwiększyła moc silnika i odleciała w kierunku Lokonu, jak mogła najszybciej, aby przybyć tam, póki jeszcze wystarczało jej tak niewiele.**

**\*\*\***

**I dni bez niego, i wciąż dni bez niego.**

**Nadejście nocy przyjmowała bez oporów. Jeśli nie zmęczyła się pracą do wyczerpania, zawsze mogła wziąć tabletkę. Donli rzadko powracał w jej snach. Ale musiała też przetrwać i dni, i wtedy nie mogła utopić ich w środkach nasennych.**

**Na szczęście przygotowania do drogi powrotnej wymagały znacznego nakładu pracy, ponieważ wyprawa nie była zbyt liczna, a do odjazdu pozostało niewiele czasu. Sprzęt trzeba było rozmontować, zapakować, przetransportować wahadłowcem na pokład statku, a tam złożyć w magazynach. Sam *Nowy Świt* wymagał wielu przygotowań, jego liczne systemy trzeba było włączyć na nowo i skontrolować. Wyszkolenie militechniczne umożliwiło Evalyth wykonywanie funkcji mechanika, nawigatora wahadłowca czy szefa ekipy załadowczej. Poza tym wszystkim nadal pełniła obowiązki związane z ochroną terenu bazy.**

**Kapitan Jonafer robił jej z tego powodu delikatne wymówki.**

**- Po co to wszystko, poruczniku? Miejscowi boją się nas jak ognia. Słyszeli już o tym, co pani zrobiła - a te wszystkie przeloty po niebie, praca robotów i ciężkiego sprzętu, reflektory po zapadnięciu zmroku... Z trudnością udaje mi się wyperswadować im porzucenie własnego miasta!**

- No to niech porzucą ją - warknęła. - Kogo to obchodzi?

- Nie przylecieliśmy tu po to, by im zaszkodzić,

poruczniku.

- Nie. Jednak moim zdaniem, kapitanie, oni by nam z

przyjemnością zaszkadzili, gdybyśmy dali im choć najmniejszą

okazję. Proszę sobie wyobrazić, jak wspaniałe przymioty musi

posiadać pańskie ciało.

Jonafer westchnął i ustąpił. Kiedy jednak odmówiła

przyjęcia Rogara podczas następnego przylotu z orbity na

planetę, zobowiązał ją do tego rozkazem i polecił zachowywać

się przyzwoicie.

Klev wszedł do części mieszczącej laboratorium

biologiczne - nie chciała wpuścić go do strefy mieszkalnej -

trzymając w obu rękach dar: miecz wykuty z metalu Imperium.

Wzruszyła ramionami; bez wątplenia jakieś muzeum z przy-

jemnością go weźmie.

- Połóż na podłodze - poleciała.

Ponieważ zajmowała jedyne w tym pomieszczeniu

krzesło, Rogar stał. W swojej szacie wyglądał na małego i

starego.

- Przyszedłem - wyszeptał - by powiedzieć, że mieszkańcy

Lokonu radują się, iż niewiasta z niebios wykonała swą zemstę.

- Wykonuje ją - poprawiła.

Nie potrafił spojrzeć jej w oczy. Ponuro spoglądała na jego

wyblakłe włosy.

- Skoro niewiasta z niebios... mogła... tak łatwo... znaleźć tych, których szukała... zatem zna prawdę mieszkającą w sercach Lokończyków: że nigdy nie zamierzaliśmy uczynić krzywdy jej ludowi.

Nie wyglądało na to, że Rogar czeka na odpowiedź.

Zacisnął splecione palce.

- Dlaczego tedy porzucacie nas - mówił dalej. - Kiedy przybyliście tu, kiedy poznaliśmy was, a wy zaczęliście mówić naszą mową, przyrzekliście tu pozostać przez wiele księżyców, a potem przysłać innych, by nauczyli nas i handlowali z nami.

Nasze serca rozradowały się. Nie tylko z powodu tych towarów, które kiedyś zechcielibyście nam sprzedać, ani z powodu tego, że wasi mędracy powiedzieliby nam, jak skończyć z głodem, chorobami, niebezpieczeństwami i cierpieniami. Nie, nasza radość i wdzięczność wynikała głównie z widoku tych cudów, jakie roztoczyliście przed nami. Nagle świat, który był tak mały, stał się tak rozległy. A teraz odchodzicie. Pytałem, gdy się odważyłem, a ci spośród waszych, którzy zechcieli odpowiedzieć, mówili, że nikt \u już nie powróci. Czymże was obraziliśmy, niewiasto z niebios, i jak możemy to naprawić?

- Możecie przestać traktować waszych współbraci jak zwierzęta - wycodziła Evalyth.

- Dowiedziałem się... jakoś... że przybysze z gwiazd



**mówią, iż to, co dzieje się w Świętym Miejscu, jest złe. Ale my robimy to tylko raz w życiu, niewiasto z niebios, i tylko dlatego, że musimy!**

**- Nie ma takiej potrzeby. Rogar upadł przed nią na kolana.**

**- Może tak jest z przybyszami z gwiazd - rzekł błagalnie - ale my jesteśmy jedynie ludźmi. Jeśli nasi synowie nie zdobędą męskości, nie poczną własnych dzieci i wówczas ostatni z nas umrze na tym świecie śmierci, a nie będzie nikogo, kto by mu otworzył czaszkę i wypuścił duszę... - Odważył się unieść na nią wzrok. To, co zobaczył na jej twarzy, sprawiło, że zaskowyczał i wycofał się tyłem na czworakach pod palące promienie słońca.**

**Później Chena Darnard odszukała Evalyth. Zrobiły sobie drinka i zaczęły rozmawiać najpierw unikając właściwego tematu, aż w końcu Chena powiedziała wprost:**

**- Trochę ostro potraktowałaś wodza, nieprawdaż?**

**- Skąd... ach, tak. - Krakenka przypomniała sobie, że rozmowa z Rogarem została nagrana do późniejszej analizy, jak robiono zawsze, kiedy było to możliwe.**

**- A co miałam zrobić, pocałować go w te ludożercze usta?**

**- Nie. - Chena skrzywiła się. - Chyba nie.**

**- Na oficjalnym zaleceniu, by dać sobie spokój z tą planetą, twój podpis jest na samej górze.**

**- Tak, ale... teraz już nie wiem. Wtedy poczułam odrazę.**

**Teraz też czuję. Ale... widziałam, jak personel medyczny bierze**

w obroty tych twoich więźniów. A ty to widziałas?

- Nie.

- Powinnaś. Jak się kulą ze strachu, wrzeszczą i wyciągają do siebie ramiona, kiedy przywiązują ich w laboratorium, a potem jak tulą się do siebie w celi.

- Przecież chyba nie czują bólu ani nie ponoszą żadnego uszczerbku, prawda?

- Oczywiście, że nie. Ale czy uwierzą tym, którzy ich pojмали? Nie można ich uspić chemicznie do badań, jeśli wyniki mają być zgodne ze stanem faktycznym. Ich obawa przed czymś całkowicie nieznanym... W każdym razie, Evalyth, byłam zmuszona przerwać obserwacje. Dłużej już nie mogłam.

- Chena długo patrzyła na drugą kobietę. - Ale ty mogłabyś pójść popatrzeć.

Evalyth potrząsnęła głową.

- Nie zamierzam napawać się widokiem cierpienia.

Zastrzelę mordercę, bo wymaga tego mój honor rodowy.

Reszta może sobie odejść wolno, nawet chłopcy. Nawet

pomimo tego, co jedli. - Nalala sobie mocnego drinka i

wychyliła jednym

haustem. Alkohol zapiekł ją w przelyku.

- Szkoda, że chcesz tego - rzekła Chena. - Donliemu by się to nie podobało.

Często cytował pewne porzekadło, podobno bardzo stare -

**on mieszkał w moim mieście, nie zapominaj, i znam go...**

**znałam go dłużej niż ty, kochanie. Słyszałam, jak mówił kiedyś,  
dwa, może trzy razy: Czy nie należy oszczędzać nieprzyjaciół,  
skoro dzięki temu mogą stać się przyjaciółmi?**

**- Pomyśl o jadowitych owadach - odparła Evalyth. - Z nimi  
nie zawiera się przyjaźni. Rozdeptuje się je.**

**- Ale człowiek robi to, co robi, bo taki jest, bo takim  
uczyniło go otoczenie. - Ton Cheny stał się natarczywy,  
pochyliła się, by pochwycić dłoń Evalyth, która nie  
odpowiedziała na ten gest. - Czymże jest człowiek, jedno życie,  
wobec tych wszystkich, którzy żyją i żyli przed nim?**

**Kanibalizm nie byłby obecny na całej wyspie, wśród wszystkich  
poza tym całkowicie odmiennych grup, gdyby nie był najgłębiej  
zakorzenionym imperatywem kulturowym ze wszystkich, jakie  
cechują tę rasę.**

**Evalyth uśmiechnęła się poprzez narastający gniew.**

**- A cóż to jest za szczególna rasa - że go zaakceptowała? A  
może by tak przyznać i mnie przywilej działania zgodnie z  
moimi imperatywami kulturowymi? Wracam do domu, by  
wychować dziecko Doniego z dala od tej waszej cywilizacji bez  
charakteru. Nie będzie wyrastał w pohańbieniu, ponieważ jego  
matka była zbyt słaba, by dochodzić sprawiedliwości za śmierć  
jego ojca. A teraz wybacz mi, ale muszę jutro wcześniej wstać,  
aby zabrać na statek kolejny ładunek.**

**Wykonanie tego zadania wymagało wielu godzin pracy;**

**Evalyth wróciła na planetę dopiero pod wieczór. Czula się nieco bardziej zmęczona niż zwykle, nieco spokojniejsza.**

**Bolesna rana zadana tym, co się stało, goiła się. Przez głowę przemknęła jej myśl, oderwana, lecz nie szokująca, nie wiarolomna: Jestem jeszcze młoda. Któregoś dnia przyjdzie inny mężczyzna. Ale nie będę cię przez to mniej kochać, drogi mój.**

**Buty jej zanurzyły się w pyłe. Baza została już częściowo opróżniona ze sprzętu i odpowiedniej części załogi. Pod żółciejącą niebem cicho zapadał wieczór. Tylko kilka osób poruszało się wśród maszyn i pozostałych baraków. Lokon był pogrążony w ciszy - tak jak zwykle w ostatnich dniach. Z radością powitała odgłos swych kroków na schodach prowadzących do baraku Jonafera.**

**Siedział czekając na nią, potężny i nieruchomy za swym biurkiem.**

**- Zadanie wykonane bezawaryjnie - zaraportowała.**

**- Proszę usiąść - powiedział.**

**Usłuchała. Milczenie przeciągało się. W końcu przemówił;**

**usta ledwie się poruszały w zeszywniałej twarzy:**

**- Zespół kliniczny zakończył badania więźniów.**

**Nie wiedzieć czemu, był to dla niej szok. Evalyth rozpaczliwie szukała właściwych słów.**

- Czy to nie za szybko? To znaczy... no, nie mamy za wiele sprzętu i tylko paru ludzi, którzy potrafią dostrzec trudniejsze sprawy, a i bez Doniego, który jako specjalista od biologii ziemskiej... Czy dokładniejsze badanie, aż do poziomu chromosomów, jeśli nie dalej... coś, co przydałoby się antropofizjologom... czy nie powinno trwać dłużej?

- Słusznie - odparł Jonafer. - Nie znaleziono nic szczególnie ważnego. Może by i znaleziono, gdyby zespół Udena wiedział, czego szukać. W takim wypadku mogliby formułować hipotezy i sprawdzać je w kontekście całego organizmu, po czym uzyskać jakieś pojęcie o badanych jako o funkcjonujących istotach. Ma pani rację, Donli Sairn miał ową intuicję zawodową, która mogłaby wskazać im drogę. Bez tego, a także bez jakichś wyraźnych wskazówek oraz bez pomocy tych nieświadomych, przerażonych dzikusów musieli błędzić i próbować prawie na ślepo. Istotnie, ustalili kilka osobliwości układu trawiennego, ale nic takiego, do czego nie można byłoby dojść na podstawie analizy ekologicznej otoczenia.

- To dlaczego zaniechali badań? Odlatujemy najwcześniej za tydzień.

- Zrobili to na moje polecenie, po tym, jak Uden pokazał mi, co się dzieje, i zapowiedział, że kończy badania, czy tego chcę, czy nie.

- Co...? Ach, tak. - Na twarzy Evelyth pojawił się wyraz

**pogardy. - Myśli pan o torturach psychicznych.**

**- Tak. Widziałem tę wychudzoną kobietę przypiętą pasami do stołu. Jej głowa, jej ciało pokryte były siecią przewodów prowadzących do zgromadzonych wokół niej liczników, które szczykały, szumiały i błyskały światłkami. Nie dostrzegła mnie; oślepił ją strach. Może wyobrażała sobie, że wypompowują z niej duszę. A może było to dla niej coś jeszcze gorszego, bo nie wiedziała, co się z nią dzieje? Widziałem w celi jej dzieci, jak trzymały się za ręce. Nic innego im nie pozostało, by mogły się uchwycić, w ich całym wszechświecie. Niedługo osiągną wiek dojrzały; jaki wpływ wywrze to wszystko na ich rozwój psychoseksualny? Widziałem, jak obok nich leżał ich ojciec, uspiiony lekami, bo chciał, pięściami wybić sobie dziurę w ścianie. Uden i jego pomocnicy mówili, że wiele razy chcieli się z nimi zaprzyjaźnić - ale bezskutecznie. Oczywiście więźniowie wiedzą, że znajdują się w mocy tych, którzy ich nienawidzą, a nienawiść ta sięga aż po grób.**

**Jonafer zamilkł na chwilę.**

**- Wszystko ma jakieś granice przyzwoitości, poruczniku - zakończył - nawet nauka i kara. Szczególnie kiedy okazuje się, że szansę na odkrycie czegoś niezwykłego są niewielkie.**

**Nakazałem przerwanie badań. Chłopcy i ich matka zostaną jutro odwiezieni w rodzinne okolice i uwolnieni.**

**- Dlaczego nie dzisiaj? - spytała Evalyth, przewidując, jaka**

**będzie odpowiedź.**

**- Miałem nadzieję - powiedział Jonafer - że zgodzi się pani uwolnić również mężczyznę.**

**- Nie.**

**- W imię Boga...**

**- Pańskiego Boga. - Evalyth odwróciła wzrok. - Nie sprawi mi to przyjemności, kapitanie. Zaczynam żałować, że muszę to zrobić. Ale chodzi o to, że Donii nie zginął w uczciwej walce czy podczas kłótni, tylko że zarżnięto go jak prosiaka. To jest to zło w kanibalizmie: że człowiek staje się jedynie zwierzęciem dostarczającym mięsa. Nie przywrócę mu życia, ale jakoś wyrównam rachunek traktując ludożercę jedynie jako niebezpieczne zwierzę, które należy zastrzelić.**

**- Rozumiem. - Jonafer również długo wyglądał przez okno. W blasku zachodzącego słońca jego twarz stała się wykutą z brązu maską. - No więc - rzekł chłodno na koniec - zgodnie z Kartą Przymierza oraz statutem naszej wyprawy nie mam wyboru. Ale nie pozwolę na żadne upiorne obrzędy, a poza tym wszystko musi pani przeprowadzić własnoręcznie.**

**Więzień zostanie pani dostarczony do budynku po zachodzie słońca. Zlikwiduje go pani natychmiast i weźmie udział w kremacji zwłok.**

**Dłonie Evalyth spotniały.**

**- Nigdy jeszcze nie zabiłam bezbronnego człowieka.**

**- Ale on to zrobił! - brzmiała odpowiedź.**

**- Zrozumiałam, kapitanie - odpowiedziała.**

**- Bardzo dobrze, poruczniku. Jeśli pani chce, proszę iść**

**do stołówki na kolację. Nikomu ani słowa. Cała sprawa**

**odbędzie się o... - spojrział na zegarek, dostosowany do długości**

**miejscowej doby - o dwudziestej szóstej.**

**Evalyth na próżno starała się przelknąć tę suchość, którą**

**miała w gardle.**

**- Czy nie zbyt późno? - spytała.**

**- To specjalnie - odrzekł. - Chcę, aby cały obóz spał. -**

**Napotkał jej wzrok. - I chcę dać pani czas na zmianę decyzji.**

**- Nie! - Zerwała się na równe nogi i ruszyła do drzwi. Jego**

**głos ścigał ją.**

**- Donli by też panią o to prosił.**

**Nadeszła noc i wypełniła pokój. Evalyth nie wstała, by**

**zapalić światło. Wyglądało to tak, jakby krzesło, ongiś ulubione**

**przez Doniego, nie chciało jej puścić.**

**W końcu przypomniała sobie o lekarstwach. Miała jeszcze**

**kilka tabletek. Po zażyciu jednej z nich łatwo będzie wykonać**

**egzekucję. Na pewno Jonafer poleci dać coś Moru na**

**uspokojenie choć teraz, zanim go tu przyprowadzą. Dlaczego**

**więc nie miałyby sobie pomóc w ten sposób?**

**Nie byłoby to słuszne.**

**Dlaczego nie?**



**Nie wiem. Nic już nie rozumiem.**

**A kto rozumie? Tylko jeden Moru. On wie, dlaczego zamordował i poćwiartował człowieka, który mu zaufał.**

**Evalyth stwierdziła, że na jej ustach zagościł niewidoczny w ciemnościach zmęczony uśmiech. Niezawodnym przewodnikiem Moru były jego przesady. Teraz już zobaczył u swoich dzieci pierwsze oznaki dojrzałości. Powinno go to choć trochę pocieszyć.**

**Dziwne, że ten przełom endokrynologiczny, związany z nadejściem dorosłości, pojawił się w warunkach przerażającego stresu. Raczej można by tu się spodziewać pewnego opóźnienia. Co prawda przez jakiś czas jeńców karmiono znacznie bardziej racjonalnie, a lekarze zapewne uwolnili ich od najróżniejszych chronicznych infekcji. Ale i tak wszystko to było dziwne. Poza tym nawet normalne dzieci w normalnych warunkach nie ujawnią nieomylnych oznak zewnętrznych w tak krótkim czasie. Donli na pewno by próbował to rozgryźć. Prawie widziała go, jak siedzi marszcząc brwi, pocierając czoło, uśmiechając się półgębkiem z powodu przyjemności, jakiej mu ten problem dostarczał.**

**Nieomal słyszała, jak mówiłby do Udena przy piwie i papierosie:**

**„Spróbuję sam nad tym pogłównkować. Może coś wykombinuję”.**

**„Jak? - zapytałby lekarz. - Jesteś specjalistą w biologii ogólnej. Nie mam nic do ciebie, ale szczegółowa fizjologia człowieka to nie twoja specjalność”.**

**„Mmmm... tak i nie. Do mnie należy badanie gatunków pochodzenia ziemskiego i to, jak się przystosowały do warunków na nowych planetach. Dziwnym trafem człowiek to jeden z takich gatunków”**

**Ale Doniego nie było, a nikt poza nim nie był dość kompetentny, by podjąć jego pracę... by go choć w części zastąpić - ale uciekała od tej myśli, podobnie jak od innej, dotyczącej tego, co ją czeka wkrótce. Wszystkie swe myśli skupiła na jednej kwestii: że nikt z zespołu Udena nie próbował wykorzystać wiedzy Doniego. Jak zauważył Jonafer, gdyby Donli żył, może podsunąłby jakiś pomysł, nieortodoksyjny a wnikliwy, który mógłby doprowadzić do odkrycia tego, co było do odkrycia, o ile w ogóle coś było. Uden i jego asystenci to rutyniarze; nawet im nie przyszło do głowy polecić komputerowi Doniego, by przeczesywał swe banki danych w poszukiwaniu jakichś istotnych informacji. Dlaczego mieliby to robić, skoro problem ten rozpatrywali z czysto medycznego punktu widzenia. No i przecież nie byli okrutni. Cierpienia psychiczne, jakie zadawali badanym, powodowały, że unikali czegokolwiek, co mogłoby spowodować konieczność dalszych badań. Donli od samego początku zabrałby się do tego inaczej.**

**Nagle mrok zgęstniał. Eyalith z trudem oddychała. W pokoju było zbyt gorąco i cicho; czekanie też się zbyt długo przeciągało. Musi coś zrobić, bo inaczej siła woli też ją zawiedzie i nie będzie w stanie pociągnąć za spust.**

**Wstała z trudem i powlokła się do laboratorium.**

**Światłówka oślepiła ją na moment. Podeszła do komputera.**

**- Włącz się! - poleciła.**

**Odpowiedziało jej jedynie światelko zasilania. Okna były nadal całkowicie czarne. Chmury na niebie bez reszty zasłaniały księżyc i gwiazdy.**

**- Jakie... - z gardła jej dobył się tylko dziwaczny skrzekot.**

**Pomogła sobie, myśląc z rozrzewnieniem: weź się w garść, głupia bekso, albo nie jesteś odpowiednią matką dla dziecka, które w sobie nosisz, I mogła już zadać pytanie.**

**- Jakie może być biologiczne wytłumaczenie zachowania się ludzi na tej planecie?**

**- Te sprawy najłatwiej wyjaśnić w kategoriach psychologicznych i antropologii kulturalnej - odrzekł głos.**

**- M-może - powiedziała Eyalith. - A może nie. -**

**Uszeregowała kilka myśli i ustawiła je niewzruszenie pośród innych, szalejących w jej głowie.**

**- Możliwe, że tubylcy ulegli jakiejś degeneracji i nie są już właściwie ludźmi. - Chciałabym, żeby Moru nie był człowiekiem. - Sprawdź wszystkie dane o nich, między innymi**

wyniki obserwacji klinicznych przeprowadzonych na czworogu z nich w ciągu ostatnich kilku dni. Porównaj z podstawowymi danymi dotyczącymi Ziemi: Podaj wszystkie hipotezy, które wydają się uzasadnione. - Zawahała się. - Poprawka. Podaj wszystkie hipotezy, które są możliwe; wszystko, co nie sprzeciwia się w sposób oczywisty ustalonym faktom.

Uzasadnione hipotezy zostały już wykorzystane.

Maszyna zaszumiała. Evelyth zacisnęła oczy i uchwyciła się brzegu biurka. Pomóż mi, Donli, proszę cię.

Do jej uszu dobiegł głos, gdzieś z drugiego krańca wieczności:

- Jedynym elementem behawiorystycznym, którego, jak się wydaje, nie można łatwo wyjaśnić za pomocą domniemań dotyczących warunków środowiskowych oraz wydarzeń historycznych, jest kanibalistyczny rytuał dorosłości. Według opinii komputera antropologicznego mogło się to wywodzić z rytuału ofiarnego, podczas którego na ołtarzu składano człowieka. Lecz ten sam komputer notuje następujące nielogiczności w tej hipotezie:

Na Starej Ziemi religie ofiarne wiązały się normalnie ze społeczeństwami rolniczymi, które znacznie bardziej były uzależnione od trwałej urodzajności i pogody niż łowieckie. Ale nawet i dla nich ofiary z ludzi okazywały się w końcu niekorzystne, jak wyraźnie dowodzi przykład Azteków. Lokon

w pewnym stopniu zracjonalizował praktyki ludożercze wiążąc je z systemem niewolniczym i w ten sposób minimalizując ich wpływ na ogólną sytuację. Jednak wśród mieszkańców nizin są one poważnym złem, źródłem nieustannego zagrożenia, powodem wydatkowania wysiłku i zasobów, które są konieczne do przetrwania. Nie wydaje się możliwe, aby ów obyczaj, gdyby tylko został przyjęty za przykładem Lokonu, mógł się utrzymać w choć jednym z tych plemion. A jednak się utrzymuje. Stąd też musi mieć jakieś racjonalne uzasadnienie i problem polega na tym, by je odszukać.

Metody zdobywania ofiar są najróżniejsze, ale wymagania zawsze te same. Według Lokończyków potrzebne jest jedno ciało dorosłego człowieka, które wystarcza, by czterej chłopcy uzyskali dojrzałość. Zabójca Doniego Sairna nie mógł unieść całego ciała. To, co zabrał, daje wiele do myślenia.

Można zatem uznać, że na tej planecie pojawił się syndrom dipteroidalny. Gdzie indziej zjawisko to nie występuje wśród wyższych zwierząt, ale teoretycznie jest możliwe. Mogła je wywołać modyfikacja chromosomu Y. Łatwo jest przeprowadzić badanie na wykrycie owej modyfikacji, a tym samym potwierdzić tę hipotezę.

Głos zamilkł. Evalyth słyszała, jak krew dudni jej w żyłach.

- O czym ty mówisz?

- O zjawisku stwierdzonym na kilku planetach wśród

niższych zwierząt - wyjaśnił komputer. Nie występuje ono często i dlatego nie jest szeroko znane. Jego nazwa pochodzi od terminu „diptera” - łacińskiej nazwy muchówek na Starej Ziemi.

Olśniło ją nagle jak błyskawicą.

- Muchówki - oczywiście! Komputer rozpoczął wyjaśnienia.

Jonafer osobiście przyprowadził Moru. Dzikus miał ręce związane za plecami, a kapitan wręcz przytłaczał go wzrostem. Mimo to jednak, a także mimo zadanych sobie obrażeń Moru szedł, choć kuśtykając, dość równo.

Chmury rozwiewały się; białym lodowym blaskiem zajaśniał księżyc. Z miejsca obok drzwi, gdzie stała, Evalyth sięgała wzrokiem do granic bazy - do zębatej jak pita palisady, nad którą, niczym szubienica, unosił się samotny dźwig. Robiło się zimno; wszak planeta zbliżała się do jesieni. Zerwał się słaby wiatr, który zawodził unosząc niewielkie tumany pyłu, tańczące jak małe diabełki. Odgłos kroków Jonafera słyhać było z daleka.

Dostrzegł ją i zatrzymał się. Moru też stanął.

- I co stwierdzono? - zapytała. Kapitan skinął głową.

- Uden zabrał się do pracy zaraz po tym, jak się pani z nim połączyła - odrzekł. - Badanie jest bardziej skomplikowane, niż twierdził pani komputer... ale on był przyzwyczajony do

**sprawności Doniego, a nie Udena. Uden sam nigdy by na to nie**

**wpadł. Owszem, hipoteza jest prawdziwa.**

**- W jaki sposób?**

**Moru stał czekając, podczas gdy nad nim przelatwały**

**słowa w języku, którego nie rozumiał.**

**- Nie jestem lekarzem. - Jonafer zachowywał obojętny ton**

**głosu. - Ale z tego, co powiedział mi Uden, wynika, że**

**uszkodzenie chromosomu powoduje, iż męskie gruczoły**

**płciowe nie są w stanie samoistnie osiągnąć dojrzałości.**

**Potrzeba im dodatkowych hormonów - Uden wymienił**

**testosteron, androsteron i nie pamiętam co jeszcze - aby**

**zapoczątkować serię zmian, które w efekcie przyniosą**

**dojrzałość. Bez tego chłopcy skazani są na bezpłodność. Uden**

**uważa, że po zbombardowaniu kolonii pozostało niewiele**

**żyjących, w takim stopniu pozbawionych środków do życia, że**

**uciekli się do kanibalizmu, by przetrwać przez pierwsze**

**pokolenie czy dwa. W tych warunkach mutacja, która inaczej**

**uległaby samoistnej eliminacji, umocniła się i przeszła na**

**wszystkich potomków.**

**- Rozumiem - skinęła głową Evalyth.**

**- Chyba pojmuje pani, co to znaczy - rzekł Jonafer. - Nie**

**będzie problemu z wykorzeniem tych praktyk. Po prostu**

**powiemy im, że mamy nowy, lepszy, Święty Pokarm i**

**udowodnimy to za pomocą kilku tabletek. Później można**

**będzie zaprowadzić hodowlę zwierząt typu ziemskiego, które dostarczą, czego będzie trzeba. A na koniec nasi genetycy z pewnością naprawią ten uszkodzony chromosom Y.**

**Dłużej nie był w stanie się hamować. Jego usta otworzyły się, niczym rana przecinająca na w pół widoczną twarz. Rzucił chrapliwie:**

**- Powiniennem wysławiać panią pod niebiosa za to, że uratowała pani od zagłady cały lud. Nie potrafię. Niech już pani kończy, co pani miała zrobić, dobrze? Evalyth podeszła do Moru, który zadrżał, lecz wytrzymał jej wzrok.**

**- Nie dał mu pan nic na uspokojenie - stwierdziła zdumiona.**

**- Nie - powiedział Jonafer. - Nie będę pani ułatwiał. - Splunął.**

**- To dobrze. - Zwróciła się do Moru w jego języku: - Zabijeś mego męża. Czy będzie słuszne, jeśli ja zabiję ciebie?**

**- Będzie słuszne - odrzekł, prawie tak samo spokojnie jak ona. - Dziękuję ci, że pozwolono odejść mojej żonie i synom. -**

**Milczał przez krótką chwilę. - Słyszałem, że wasz lud potrafi przechowywać ciało przez wiele lat, tak żeby się nie zepsuło.**

**Będę rad, jeśli zachowasz moje dla swoich synów.**

**- Im ono nie będzie potrzebne - rzekła Evalyth. - Ani synom twoich synów. W słowach Moru pojawił się niepokój.**

**- Czy wiesz, czemu zabiłem twego męża? On był dla mnie**



dobry, był jak bóg. Ale jestem chromy. Nie widziałem innej drogi zdobycia tego, co musieli mieć moi synowie, i to prędko; inaczej byłoby za późno i nigdy nie staliby się mężczyznami.

- On mnie nauczył - powiedziała - co to znaczy być mężczyzną. - Obróciła się w stronę Jonafera, który stał w napięciu, nie rozumiejąc, o co chodzi. - Dokonałam już zemsty - powiedziała w języku Doniego.

- Co takiego? - pytanie Jonafera zabrzmiało jak echo słów Evalyth.

- Kiedy dowiedziałam się o syndromie dipteroidalnym - rzekła - wystarczyłoby mi tylko zachować to w tajemnicy.

Moru, jego dzieci, jego cała rasa pozostałaby zwierzyną łowną przez wieki, może na zawsze. Siedziałam chyba z pół godziny ciesząc się moją zemstą.

- A potem? - spytał kapitan.

- Doznałam satysfakcji i mogłam pomyśleć o sprawiedliwości - odparła Evalyth.

Wydobyła nóż. Moru wyprostował plecy. Stała za nim z tyłu i przecięła mu więzy.

- Wracaj do domu - powiedziała. - I pamiętaj o nim.